

Rozdział Ósmy

Zmartwychwstanie

...bo Dawid mówił o Nim:

*...nie zostawisz duszy mojej w Otchłani,
ani nie dasz Świętemu Twemu ulec skażeniu. [...]*

Dawid umarł i został pochowany w grobie, który znajduje się u nas aż po dzień dzisiejszy. Więc jako prorok, który wiedział, że Bóg przysiągł mu uroczystie, iż jego Potomek zasiądzie na jego tronie, widział przyszłość i przepowiedział zmartwychwstanie Mesjasza, i że nie pozostanie w Otchłani, ani ciało jego nie ulegnie rozkładowi. Tego właśnie Jezusa wskrzesił Bóg, a my wszyscy jesteśmy tego świadkami.

*(z pierwszego kazania Piotra w dniu Pięćdziesiątnicy w Jerozolimie,
Dz 2,25-32)*

Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa jest jednym z najlepiej udokumentowanych faktów w historii ludzkości. Chociaż zarówno świeckie, jak i religijne władze tamtych czasów robiły, co mogły, aby przeciwstawić się nowej sekcji, która powoływała się na to wydarzenie, to jednak nigdy nie podjęły żadnego konkretnego działania, które by w sposób przekonujący mogło zadać kłam temu twierdzeniu. Wynika stąd, że takie działania były po prostu niemożliwe. Trudno uciec przed oczywistością tej konkluzji, co najdobitniej świadczy o prawdziwości zmartwychwstania.

Gdyby ciągle powoływanie się chrześcijan na pusty grób nie znajdowało potwierdzenia w rzeczywistości, bez większych problemów można by zdemaskować to oszustwo. Jezus nie nakazał swoim uczniom, aby głoszenie ewangelii zaczynali od jakichś odległych krain, od Indii czy Syberii, ale wręcz przeciwnie, polecił im zacząć od samej Jerozolimy, od miasta, które było świadkiem nie tylko Jego krzyżowej śmierci, ale i zmartwychwstania. To właśnie do tych dwóch całkowicie publicznych wydarzeń stale odwoływali się uczniowie w prostym, a tak bardzo pełnym mocy nauczaniu. Opierając się właśnie na nich oraz na prorocत्वach Starego Testamentu, przemienieni nagle apostołowie głosili, że Jezus umarł za grzechy świata, a Jego zmartwychwstanie jest dowodem, że dług za grzech został spłacony. Odtąd przebaczenie i życie wieczne są dostępne dla każdego, kto uwierzy, jako dar łaski Bożej.

Paweł tak scharakteryzował Ewangelię (Dobrą Nowinę), zwiastowaną przez uczniów: *Przekazałem wam na początku to, co przejąłem: że Chrystus umarł – zgodnie z Pismem – za nasze grzechy, że został pogrzebany, że zmartwychwstał trzeciego dnia,*

zgodnie z Pismem; i że ukazał się Kefasowi, a potem Dwunastu, później zjawił się więcej niż pięciuset braciom równocześnie; większość z nich żyje dotąd, niektórzy zaś pomarli. Potem ukazał się Jakubowi, później wszystkim apostołom. W końcu, już po wszystkich, ukazał się także i mnie (1 Kor 15,3-8).

Pusty grób

W kolejnych wersetach Paweł wyjaśnił, że fakt zmartwychwstania jest podstawą Ewangelii:

A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremne jest nasze nauczanie, próżna jest także wasza wiara. Okazuje się bowiem, żeśmy byli fałszywymi świadkami Boga, skoro umarli nie zmartwychwstają, przeciwko Bogu świadczymiśmy, że z martwych wskrzesił Chrystusa. Skoro umarli nie zmartwychwstają, to i Chrystus nie zmartwychwstał. A jeżeli Chrystus nie zmartwychwstał, daremna jest wasza wiara i aż dotąd pozostajecie w swoich grzechach. Tak więc i ci, co pomarli w Chrystusie, poszli na zatracenie. Jeżeli tylko w tym życiu nadzieję pokładamy, jesteśmy bardziej od wszystkich ludzi godni politowania [ponieważ niepotrzebnie cierpimy i umieramy za głoszone przez nas kłamstwo]. Tymczasem jednak Chrystus zmartwychwstał (1 Kor 15,14-20).

Nowa nauka, tak śmiało rozgłaszana przez niedawnych załęczonych nieudaczników, nie była nowym rodzajem religii czy filozofii religijnej, nowym poglądem, z którym w ogóle można dyskutować. Jej prawda nie była też kwestią swobodnego uznania, uległości opinii czy poddania się jakiejś pogłosce. Uczniowie mówili o czymś najbardziej nieprawdopodobnym na świecie: o tym, że ktoś, kto umarł – a wszyscy o tym wiedzieli, ponieważ śmierć Jezusa była egzekucją publiczną – powrócił do życia, mimo że Jego martwe ciało przez trzy dni leżało w grobie. Stało się to, wedle ich słów, aby ostatecznie zostało dowiedzione, że to właśnie On jest obiecany Zbawicielem świata, który jako pierwszy pokonał śmierć. Gdyby głoszona przez uczniów „dobra nowina” była tylko kłamstwem, to bez większego trudu można by ją zdemaskować. Przecież z miejsca, gdzie ją głosili, niedaleko było do grobu, który mógł rozwiązać wszystkie wątpliwości.

„Idź sam i zobacz! – tak mogłaby brzmieć sarkastyczna reakcja na ewangelię. – Kamień jest ciągle na swoim miejscu, a rzymska pieczęć nietknięta. Pusty grób – ha! Akurat!”. W tym okresie cała Jerozolima mogła poznać fakty. A gdyby z jakichś powodów uczniowie dalej upierali się przy mąceniu ludziom w głowach, władze rzymskie mogłyby w końcu odsunąć kamień i wystawić na widok publiczny rozkładające się ciało Jezusa. A jednak nie zrobiły tego. Wynika stąd, że najwyraźniej nie były w stanie.

Tysiące stawały się teraz wyznawcami Chrystusa i powtarzały, że ich Mistrz powróci aby osądzić tych, którzy Go odrzucają. W Jerozolimie wrzało. Ani Rzymianie, ani kapłani nie mogli sobie pozwolić na kontynuację tak niebezpiecznego zamieszania. Zapisy historyczne wyraźnie ukazują sytuację, w której władze mają wszelkie powody ku temu, aby posłużyć się ciałem jako dowodem. Skoro jednak tego nie uczyniły, mimo owego „noża na gardle” grób naprawdę musiał być pusty.

Dlaczego Rzymianie nie podłożyli innego ciała, nie zatoczyli kamienia, nie zapieczętowali grobu i nie otoczyli go strażą, która świadczyłaby każdemu, że w środku nadal leży ciało fałszywego proroka? Taki plan mógłby zostać naprędce sklecony i wprowadzony w życie, jednak do grobu zdążyło już przyjść zbyt wielu ciekawskich świadków i na własne oczy przekonać się, że nie ma w nim ciała.

Grób musiał być pusty – i nie podlega to żadnej dyskusji. Ktoś bezceremonialnie zerwał rzymską pieczęć i odsunął kamień odsłaniając wejście do dużego, wykutego w skale grobowca. Każdy, kto tylko chciał, mógł – i uczyniło to wielu – zajrzeć do środka, i na własne oczy przekonać się, że nie ma już tam żadnych świeżych zwłok ani też jakichkolwiek pozostałości wcześniejszych pochówków, ponieważ był to – pamiętajmy – zupełnie nowy grób. Władze nie mogły zaprzeczyć, że grób Jezusa jest pusty. W tej sytuacji mogły jedynie postarać się jakoś to wytłumaczyć.

Niedorzeczne wytłumaczenie

Kapłani potrafili zdobyć się jedynie na chaotyczną i niespójną, zupełnie niewiarygodną opowieść o uczniach, którzy zakradli się nocą do grobu, zmylili Rzymian, po czym wynieśli i potajemnie pogrzebali ciało Jezusa. Postarano się o to, aby wersja ta, niby na skutek niedopatrzania, „przeciekła” do publicznej wiadomości, rzekomo z poufnych źródeł. Jednak tak oczywiste kłamstwo było zbyt niedorzeczne, aby mógł je zaakceptować ktokolwiek – poza tymi, którzy naprawdę chcieli w nie wierzyć. Kto miałby na tyle odwagi, aby narażając się na śmierć w męczarniach sprofanować nienaruszalność rzymskiej pieczęci? Jakoś trudno uwierzyć, aby mogli to być uczniowie. Przerażeni rybacy, oszołomieni niespodziewanym rozwojem wypadków, nie posiadali ani doświadczenia, ani motywacji, ani sprytu, aby rzucić wyzwanie potęgze Rzymu. Przecież zaraz po aresztowaniu Jezusa rozbiegli się w trwodze o własne życie, skąd więc miałyby w nich zajść tak nagła zmiana? Trzeba by nie lada geniuszu i odwagi, żeby ośmielić się na tak zuchwałą eskapadę.

Tak brzmiało oficjalne – i absurdalnie nieprawdopodobne – wytłumaczenie zmartwychwstania, rozgłaszane „w zaufaniu” po Jerozolimie, które – jak łatwo można się było domyślić – mogło pochodzić tylko z kręgów przywódców żydowskich. Wynikało z niego, że cały oddział doskonale wyszkolonych, ślepo posłusznych i poddanych bezzwzględnej dyscyplinie żołnierzy rzymskich musiał w całości zasnąć na służbie. Potem zakradli się niewidzialni jak duchy uczniowie, odtoczyli kamień i zniknęli z ciałem nie budząc nikogo. Skąd jednak żołnierze mogliby wiedzieć, kto poważył się na ten niezwykły czyn, skoro wszyscy podobno spali? To ciągle pozostawało zagadką. Ale nie jest to jedyny tak kłopotliwy element w całej historii.

Dlaczego uczniowie nie zostali aresztowani za przestępstwo, którego rzekomo mieli się dopuścić? A co z żołnierzami? Ci w ogóle nie zostali ukarani. Przecież tak rażące pogwałcenie obowiązku – najpoważniejsze przewinienie w armii rzymskiej – pociągało za sobą karę śmierci. Zgodnie z prawem tacy żołnierze powinni bezzwłocznie zawisnąć na krzyżach, tam gdzie jeszcze niedawno wisiał Jezus. Tak się jednak nie stało.

Ci, którzy sfabrykowali opowieść o uczniach kradnących ciało, musieli to zrobić za

zgodą rzymskich władz wojskowych, gdyż w innym wypadku natychmiast potoczyłyby się głowy. Mimo wszystko w tej oficjalnej wersji były ciągle tak ogromne niekonsekwencje i dziury, że bez problemów mogłoby przez nie przemaszerować kilka rzymskich legionów. Już ta chaotyczna niespójność świadczy o tym, że całą opowieść wymyślono w chwili desperackiej paniki. Znalazło się zresztą kilku świadków przedziwnego panicznego przerażenia, które doskonale tłumaczyło ten zastanawiający przypadek. Świadkowie ci twierdzili, że widzieli lśniącego jak błyskawica anioła odwalającego kamień od grobu i osłupiałych w trwodze żołnierzy, którzy wpierw skamienieli z zaskoczenia, a potem zbiegli w śmiertelnej panice.

Dzień trzeci

Ciało zniknęło – nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jeżeli naprawdę zostało wykradzione, mogło to nastąpić dopiero wtedy, kiedy przy grobie nie było już straży. Stąd możemy wyciągnąć całkiem sensowny i logiczny wniosek, że być może żołnierze pozostali na warcie jeszcze przez kilka godzin po upływie wyznaczonego im czasu. Mieli pilnować grobu trzy dni, ponieważ to po trzech dniach od swej śmierci miał zmartwychwstać ten żydowski oszust – jak sam zapowiedział. Dopiero po upływie tego czasu, gdyby nic się nie stało, legioniści mogliby spokojnie opuścić miejsce pochówku, oczywiście sprawdzając na odchodnym nienaruszoną pieczęć prokuratora na kamieniu zasłaniającym wejście do grobowca. Dopiero po tym do akcji mogliby wkroczyć uczniowie. Tylko że wówczas jakakolwiek kradzież ciała byłaby już spóźniona i mijałaby się z celem.

Gdyby żołnierze złożyli pod przysięgą oświadczenie, że pozostawali przy grobie aż do końca nakazanego im czasu, twierdzenie uczniów o zmartwychwstaniu zostałoby natychmiast publicznie zdemaskowane jako kłamstwo. To, że żołnierze nigdy nie złożyli takiego oświadczenia, jest bardzo ważne. Opowieść o „kradzieży ciała, podczas gdy żołnierze spali”, była mimowolnym przyznaniem, że ciało zniknęło w czasie ich służby, a nie należy zapominać o tym, że żołnierze mieli strzec grobu do końca trzeciego dnia (Mt 27,64-66). W innym przypadku nie byłoby potrzeby fabrykowania tak fantastycznej opowieści. Już samo puszczenie jej w obieg potwierdza mimochodem autentyczność cudownego faktu, którego świadkami było kilka kobiet.

Bezpośrednio przed świtem, rankiem trzeciego dnia po ukrzyżowaniu, *anioł Pański zstąpił z nieba i przystąpiwszy odwalił kamień* (Mk 28,2 BW), ukazując światu pusty grób. Zarówno żołnierzy jak obserwujące wszystko z pewnej odległości kobiety sparaliżował strach. Kiedy uzbrojona straż ochłonęła, w panice pobięła do kapłanów, aby opowiedzieć im o całym wydarzeniu.

Żołnierze musieli też donieść władzom, że stali się świadkami tego, iż grób był pusty przed upływem zapowiedzianego terminu trzech dni. W ten sposób władze zostały zmuszone sfabrykowania absurdalnej opowieści o zwłokach skradzionych w czasie nieregulaminowej drzemki żołnierzy.

Niedowierzający uczniowie

Relacje uczniów o ich własnej reakcji na tak zadziwiające doniesienia tchną niekłamaną autentycznością. W pierwszym odruchu, oszołomieni wiadomością, a wciąż lękający się o własne życie, jeszcze tego samego wieczora zebrali się w ukryciu w gronie jedenastu, aby przedyskutować rozwój wypadków. Ich sen o władaniu mesjańskim królestwem zamienił się w koszmar. Może kiedy zastanowią się nad tym, co zaszło, zdołają jakoś ogarnąć ten niewiarygodny bieg wydarzeń, i wreszcie zrozumieją swoją rolę w tej przedziwnej historii, w którą tak się uwikłali, a która coraz wyraźniej bezpośrednio zagrażała ich życiu.

Zmartwychwstanie było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewali. Nie byli w stanie uwierzyć w nie nawet wtedy, kiedy już stało się faktem. Po pierwszej wiadomości o pustym grobie usłyszanej od kobiet – w którą zresztą żaden z nich nie uwierzył – zaniepokojeni Piotr i Jan pobiegli do grobowca i istotnie stwierdzili, że jest pusty (J 20,2-10). Potem Jezus ukazał się Piotrowi, napomniął go łagodnie i wybaczył jego tchórzliwe zaparcie się wiary. Jednak mimo tego Piotr tak samo jak inni apostołowie dalej pozostawał w szoku i ciągle nie mogąc uwierzyć własnym oczom i zupełnie nie wiedział co o tym wszystkim myśleć.

Zamiast obmyślać dalsze odcinki „baśni o zmartwychwstaniu” czy „spisku paschalnego”, przestraszeni uczniowie trwali w oszołomieniu, całkowicie zaskoczeni rozwojem wypadków. Zastanawiając się nad tym, co to wszystko miałoby oznaczać i jak powinni się zachować wobec ostatnich wydarzeń, rozmawiali o rzekomych pojawieniach się ich Pana. I wtedy nagle Jezus znalazł się pomiędzy nimi. Nie otwierając drzwi ani okien, bezgłośnie, w tajemniczy sposób, zmartwychwstały Mesjasz przeniknął do zaryglowanego pomieszczenia, rzucając wyzwanie niewierze tych, którzy tak szybko opuścili Go w trwodze o własne życie. Ale apostołowie nawet wtedy, kiedy stał pomiędzy nimi, nie potrafili dać wiary swoim zmysłom. Sparaliżował ich strach, nagle przypomnieli sobie wszystkie znane im opowieści o duchach (Łk 24,37).

A on wyciągnął do nich ręce i odezwał się swoim spokojnym, pewnym, tak dobrze im znanym głosem:

Czemu jesteście zmieszani i dlaczego wątpliwości budzą się w waszych sercach? Popatrzcie na moje ręce i nogi: to Ja Jestem. Dotknijcie Mnie i przekonajcie się: duch nie ma ciała ani kości, jak widzicie, że Ja mam.

Naoczny świadek tych wydarzeń pisze następnie:

Przy tych słowach pokazał im swoje ręce i nogi. Lecz gdy oni z radości jeszcze nie wierzyli i pełni byli zdumienia, rzekł do nich: „Macie tu coś do jedzenia?” Oni podali mu kawałek pieczonej ryby. Wziął i jadł wobec nich. Potem rzekł do nich: „To właśnie znaczyły słowa, które mówiłem do was, gdy byłem jeszcze z wami: Musi się wypełnić wszystko co napisane jest o Mnie w Prawie Mojżesza, u Proroków i w Psalmach”. Wtedy oświecił ich umysły, aby rozumieli Pisma (Łk 24,38-45).

40 dni „licznych dowodów”

Aby rozwiązać wszelkie możliwe wątpliwości co do swego zmartwychwstania, jeszcze przez następnych 40 dni Jezus pozostawał ze swoimi uszczęśliwionymi uczniami. W tym czasie *dał wiele dowodów, że żyje* (Dz 1,3). Biblia przedstawia kompletne i rzetelne świadectwo naocznych świadków, którzy byli z Nim, słyszeli i widzieli Go żyjącego.

Podczas tych dni nauczał uczniów o Królestwie, które stało się powodem takiego zamieszania, chociaż nie jest nam znana dokładna treść Jego wypowiedzi. *Kiedy ustanowisz Królestwo Izraela?* – ciągle jeszcze pytali Go niecierpliwie. *Nie wasza to rzecz znać czasy i chwile, które Ojciec ustalił pod swoją władzą* (Dz 1,6-7) – brzmiała Jego jedyna i dosyć tajemnicza odpowiedź.

Podczas Ostatniej Wieczerzy – która teraz wydawała się tak odległa w czasie – Jezus powiedział apostołom, że zamierza wrócić do Domu Ojca w niebie. Stamtąd przyszedł i tam obiecał ich zabrać. Jednakże najpierw – uprzedził – On sam musi powrócić do Domu Ojca. Dlatego opuści ich teraz, a oni opowiedzą światu o Jego śmierci za grzechy i o zmartwychwstaniu.

Ale dlaczego właściwie musi odejść? Znowu nie potrafili zrozumieć Jego słów. Ciągle oczekiwali szybkiego ustanowienia Królestwa.

Zbyt szybko minęły te jakże krótkie 40 dni, które Jezus spędził wśród swoich uczniów odnawiając ich wiarę. Opuścił ich nagle i bez żadnego ostrzeżenia. Z zaskoczeniem obserwowali, jak z wyciągniętymi w geście błogosławieństwa rękami uniósł się z ziemi i zniknął w chmurach. Chwilę wcześniej powiedział jeszcze kilka ostatnich słów:

[...] *gdy Duch Święty zstąpi na was, otrzymacie Jego moc i będziecie moimi świadkami w Jerozolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi* (Dz 1,8).

Moc Jego zmartwychwstania

Ciągle trzeba podkreślać, że życie, które Chrystus daje tym, którzy wierzą w Niego, jest **Życiem Zmartwychwstałym** – nowym życiem dostępnym tylko dla tych, którzy umarli w Nim. Oni nie doświadczają już zamętu, jaki opanował serca apostołów w ciemną noc pojmania Jezusa, lecz całkowitej pewności życia wiecznego, otrzymanego darmo jako dar łaski Bożej.

Dla systemu wierzeń zapoczątkowanych przez Mahometa, Buddę czy założycieli innych religii nie ma znaczenia, że ich fizyczne szczątki ciągle spoczywają w grobowcach, do których je złożono, ponieważ religie świata składają się zasadniczo ze stworzonych przez ich założycieli zbiorów zasad, będących wskazówkami, jak mają żyć ich wyznawcy. Fakt, że twórca-założyciel danej religii jest martwy, nie ma znaczenia dla funkcjonowania i przetrwania jego nauk. Aby otrzymać jakąkolwiek obiecaną wiernym nagrodę, czy to oświecenie, czy nirwanę, wyznawca musi sam sobie na nią zasłużyć swoim właściwym postępowaniem.

Chrześcijaństwo jest inne. Też jest sposobem życia, ale nie takim, na jaki mógłby

się samodzielnie zdobyć chrześcijanin. Poprzeczka jest umieszczona zbyt wysoko, aby ktokolwiek z ludzi, oprócz samego Chrystusa, był w stanie tak żyć. Wszystko natomiast opiera się na **żywej relacji** z Jezusem, ponieważ On żyje.

Aby wyjaśnić tę intymną więź, Chrystus porównał siebie do krzewu winnego, a swoich uczniów do gałęzi czerpiących siły i wydających owoce dzięki życiu, które On daje. *Ponieważ ja żyję, i wy żyć będziecie* (J 14,10) – obiecał. Według słów Pawła On jest *naszym życiem* (Kol 3,4). Zamieszkując przez Ducha Świętego w każdym, kto pokłada w Nim ufność, Jezus wlewa w niego swoje zmartwychwstałe życie. To, co mówi o sobie Paweł, jest dostępne dla każdego wierzącego:

Teraz zaś już nie ja żyję, lecz żyje we mnie Chrystus. Choć nadal prowadzę życie w ciele, jednak obecne życie moje jest życiem wiary w Syna Bożego, który umiłował mnie i samego siebie wydał za mnie (Ga 2,20).

Przemiana Saula w Pawła

Z pewnością znacznie bardziej zaskakującą niż transformacja uczniów po zmartwychwstaniu była diametralna przemiana, jakiej doświadczył Saul z Tarsu. Ten gorliwy faryzeusz, jeden z inicjatorów ukamienowania pierwszego męczennika – Szczepana, Saul należał do czołowych zaprzysięgłych wrogów młodego Kościoła. *Siał grozę i dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich* (Dz 9,1), a przy tym *niszczył Kościół, wchodząc do domów porwał mężczyzn i kobiety i wtrącał do więzienia* (Dz 8,3).

A jednak właśnie ten człowiek zupełnie nieoczekiwanie stał się wyznawcą Chrystusa. Nikt nie mógł uwierzyć w jego przemianę. Chrześcijanie *bali się go, nie wierząc, że jest uczniem* (Dz 9,26). Ale *Saul, zwany też Pawłem* (Dz 13,9), zaczął głosić ewangelię i dyskutować nie tylko z Żydami, ale i z Grekami. Posługując się zarówno logiką jak i Pismem z wielką mocą udowadniał, że Jezus jest zapowiadany Mesjaszem.

Od pierwszej chwili swego nawrócenia Paweł wiedział, że czeka go los znacznie gorszy niż innych chrześcijan. Stając się jednym z tych, których wcześniej tak żarliwie prześladował, ściągnął na siebie zemstę kapłanów, którzy od razu postanowili go zgładzić (Dz 9,23.29). Polemizując z innymi apostołami, Paweł sam opisał niektóre koleje swego życia zakończonego męczeńską śmiercią w Rzymie:

Są sługami Chrystusa? [tj. przywódcy Kościoła]. Zdobędę się na szaleństwo: Ja jeszcze bardziej! Bardziej przez trudy, bardziej przez więzienia; daleko bardziej przez chłosty, przez częste niebezpieczeństwa śmierci. Przez Żydów pięciokrotnie byłem bity po czterdzieści razy bez jednego. Trzy razy byłem sieczony różgami, raz kamienowany, trzykrotnie byłem rozbitkiem na morzu, przez dzień i noc przebywałem w głębinie morskiej. Często w podróżach, w niebezpieczeństwach na rzekach, w niebezpieczeństwach od zbójców, w niebezpieczeństwach od własnego narodu, w niebezpieczeństwach od pogan, w niebezpieczeństwach w mieście, w niebezpieczeństwach na pustkowiu, w

niebezpieczeństwach na morzu, w niebezpieczeństwach od fałszywych braci; w pracy i umęczeniu, często na czuwaniu, w głodzie i pragnieniu, w licznych postach, w zimnie i nagości (2 Kor 11.23-27).

Co spowodowało, że ten cieszący się uznaniem i szacunkiem rabin porzucił religię, której poświęcił całe swoje życie, i nagle zaczął głosić przekonania dokładnie przeciwne – te, które wcześniej zwalczał publicznie nie przebierając w środkach? Jakby nie spojrzeć na tę dziwną przemianę, Paweł podjął decyzję, o której już z góry było wiadomo, że stawia go na przegranej (z punktu widzenia postronnego obserwatora) pozycji. Czyż zamiana szacunku, prestiżu i wygodnego życia na zlorzeczenia, prześladowanie i prawdopodobne męczeństwo nie wydaje się szaleństwem? Sam przecież później powiedział: *w każdym mieście (...) czekają mnie więzy i utrapienia* (Dz 20,23), i nie było to stwierdzenie *post factum*, ale świadomy, z góry możliwy do przewidzenia wybór. Dlaczego znany rabin i faryzeusz nagle stał się chrześcijaninem, jednym z tych „sekiarzy”, których wcześniej tak nienawidził?

Paweł konsekwentnie twierdzi, że stało się to na skutek jego osobistego spotkania ze zmartwychwstałym Jezusem. Jeśli to prawda, istotnie tłumaczyłoby to wszystko, ale w jaki sposób mógł tego dowiedzieć? Wystarczającym dowodem wydaje się radykalna zmiana jego życia. Zdumiewa fakt, że świadomie zdecydował się na cierpienia i śmierć dla Chrystusa – które rzeczywiście stały się jego udziałem. Sceptycy stwierdzą, że był to efekt zwyczajnych halucynacji, że Paweł był szczerzy w swoim przekonaniu, ale niestety uległ urojeniom. Jednak argument ten nie wytrzymuje krytyki, gdyż właśnie na skutek tego spotkania Paweł wykazywał się wiedzą, której nie mógł zdobyć w żaden inny sposób, jak tylko przez osobisty kontakt z samym Jezusem z Nazaretu.

W jednym z listów Paweł opisuje wydarzenia Ostatniej Wieczerzy, w której nie brał udziału. Od żadnego z obecnych na niej apostołów nie mógł usłyszeć szczegółowej relacji z jej przebiegu z prostego powodu, że po prostu żadnego z nich jeszcze nie znał. Paweł zapewnia, że otrzymał te informacje od samego zmartwychwstałego Pana (1 Kor 11,23). Zarzeka się, że żadnego ze swoich twierdzeń czy przekonań nie przejął od apostołów:

Oświadczam więc wam, bracia, że głoszona przeze mnie Ewangelia nie jest wymysłem ludzkim. Nie otrzymałem jej bowiem ani nie nauczyłem się od jakiegoś człowieka, lecz objawił mi ją Jezus Chrystus. [...] Gdy [...] spodobano się Temu [tj. Bogu] [...] objawić Syna swego we mnie [...] natychmiast, nie radząc się ciała i krwi ani nie udając się do Jerozolimy, do tych, którzy apostołami stali się pierwsi niż ja (Ga 1,11.12.15-17).

Pierwsi apostołowie [por. Mt 10,1-4, przyp. red.] musieli przyznać, że głoszona przez Pawła nauka jest prawdziwa, mimo że to nie oni mu ją przekazali, i że choć to oni chodzili z Jezusem ponad trzy lata, to jednak Paweł, „ten nowy”, wie teraz więcej od nich. Wkrótce stał się on najważniejszym z apostołów i napisał większość listów. Napominał nawet Piotra, który wcześniej uchodził za przywódcę apostołów.

Jedynym wytłumaczeniem tej radykalnej przemiany Saula – czołowego

prześladowcy Kościoła – w Pawła, jego głównego przywódcę, jest osobiste spotkanie ze zmartwychwstałym Jezusem. Żaden inny powód – oprócz tego, który podał on sam, poświadczając go własnoręcznie w swoich pismach – nie stanowi wystarczającego wytłumaczenia tego zadziwiającego faktu. Paweł, który nie znał osobiście Jezusa przed ukrzyżowaniem, staje się teraz Jego osobistym uczniem i przekazuje innym słowa swego Mistrza. Trudno o bardziej dobitny dowód zmartwychwstania.

Powrót na Górę Oliwną

Gdy osłupiali uczniowie *uporczywie wpatrywali się w Niego* [tj. Jezusa], *jak wstępował do nieba, przystąpili do nich dwaj mężowie w białych szatach* (Dz 1,10) mówiąc, że Ten, który właśnie wstąpił do nieba, powróci z niego na ziemię dokładnie w to samo miejsce, z którego odszedł (por. Dz 1,11). Co więcej, powróci dokładnie w ten sam sposób, tj. w widzialnej postaci zstąpi z nieba. Inne miejsca Pisma zapowiadają jasno, że przyjdzie w mocy i chwale i że *ujrzy Go wszelkie oko* (Ap 1,7). Dosłowna zapowiedź anielskich posłańców brzmiała następująco: *Ten Jezus, wzięty od was do nieba, przyjdzie tak samo, jak widzieliście Go wstępującego do nieba* (Dz 1,11).

Science fiction? – zapytają niektórzy. Nie! To coś znacznie bardziej fascynującego. Jednak słowa aniołów nie powinny być dla uczniów całkowitym zaskoczeniem. Już prorok Zachariasz przepowiedział to wydarzenie, zaznaczając wyraźnie, że Tym, który powróci na Górę Oliwną, będzie sam Bóg:

Wtedy Pan [w oryginale Tetragram: JHWH] *wyruszy do boju i będzie walczył przeciw ludom, jak niegdyś walczył w dniu bitwy. W owym dniu dotknie stopami Góry Oliwnej, która jest naprzeciw Jerozolimy od strony wschodniej* (Za 14,3-4).

Następny werset to jakby „komentarz”: *Wtenczas nadciągnie Pan, mój Bóg, i z nim wszyscy święci* (Za 14,5). Rozdziały od 12 do 14 Księgi Zachariasza odnoszą się bez wątplenia do powrotu Mesjasza w czasie Armageddonu, gdy przyjdzie On wybawić swój naród, miażdżony w śmiertelnym uścisku wrogów, zamierzających ostatecznie go unicestwić. Widać jasno, że chodzi o to samo wydarzenie, które apostoł Jan przedstawił w rozdziale 19 Apokalipsy. Ten, którego imię brzmi *Słowo Boga* (Ap 19,13), bez wątplenia uosabiający to słowo, przez które Bóg od początku się objawia, czyli Jezus Chrystus we własnej osobie, przybywa na bitwę Armageddon wraz z wojskami, *które są w niebie* (Ap 19,14).

Konieczność uprzedniego Pochwycenia

Niebieskie wojska, które jak mówi Jan, będą towarzyszyć Chrystusowi, to z pewnością owi *święci*, o których pisze Zachariasz. Nie ma wątpliwości, że obydwa opisy odnoszą się do tego samego wydarzenia. Juda mówi nam w swoim liście, że to nadejście Jezusa zostało przepowiedziane przez Henocha tysiące lat wcześniej:

Również o nich prorokował siódmy po Adamie [patriarcha] Henoch, mówiąc: „Oto przyszedł Pan z miriadami swoich świętych, aby dokonać sądu nad wszystkimi” (Jd 14-15).

Wynika stąd, że kiedy Chrystus powróci na Górę Oliwną w czasie swego Drugiego Przyjścia, będą Mu towarzyszyć *święci* wszystkich czasów, co oznacza z pewnością wszystkich chrześcijan. Nie trzeba być geniuszem, aby domyślić się, że skoro Jego święci mają przyjść z nieba na ziemię, muszą wcześniej zostać do nieba zabrani. W tym miejscu nasuwa się nieunikniony wniosek, że jakiś czas przed Drugim Przyjściem Chrystus weźmie do nieba wszystkich, którzy w Niego uwierzyli (wskrzeszonych zmarłych i przemienionych żywych).

Wielu chrześcijan nigdy nie umrze fizycznie. Ich zmartwychwstały Zbawiciel obiecał, że kiedy powróci, weźmie ich ze sobą z ziemi, przemieniając w okamgnieniu ich fizyczne ciała na podobieństwo swojego zmartwychwstałego ciała. A zabierze z sobą nie tylko wszystkich żyjących, ale i wcześniej zmarłych chrześcijan. Wydarzenie to nazywane jest „Pochwyceniem”, a słowo to oznacza „szybkie zabranie w górę”. Obietnica ta jest zupełnie nieobecna w innych religiach. Ani Mahomet, ani Budda, ani żaden inny twórca jakiegokolwiek innego systemu wierzeń nie ośmielił się złożyć takiego przyrzeczenia. Umarli ludzie nie „powracają”.

Paweł, który nie był pośród pierwszego kręgu apostołów, kiedy w Wieczerniku Pan mówił im o swoim powrocie, został później głównym autorytetem w sprawie tego wydarzenia. W listach opisuje on szczegóły Pochwycenia, których nie podaje żaden inny z apostołów:

[...] najpierw powstaną ci, którzy umarli w Chrystusie, potem my, którzy pozostaniemy przy życiu, razem z nimi porwani będziemy w obłokach w powietrze, na spotkanie Pana; i tak zawsze będziemy z Panem (1 Tes 4,16-17 BW).

Z innych miejsc Pisma Świętego (które będziemy badać w następnej kolejności) wynika wyraźnie, że obiecane powtórne przyjście Chrystusa obejmuje dwa odrębne wydarzenia. W czasie pierwszego z nich – **Pochwycenia** – Chrystus przychodzi **po swoich świętych**, aby zabrać ich z ziemi. W czasie **Drugiego Przyjścia** przychodzi On **ze swoimi świętymi** z nieba, aby ocalić Izrael i dokonać sądu nad Antychrystem i jego zwolennikami.

Te dwa wydarzenia dzieli od siebie okres siedmiu lat, podczas których Antychryst będzie rządził na ziemi. Twierdzenie to oparte jest na rzetelnej biblijnej podstawie, co zobaczymy na następnych stronach.

Rozdział Dziewiąty

Błogosławiona nadzieja

*Niech się nie trwoży serce wasze. Wierzycie w Boga? I we Mnie wierzcie! W domu Ojca mego jest mieszkań wiele. Gdyby tak nie było, to bym wam powiedział. Idę przecież przygotować wam miejsce. A gdy odejdę i przygotuję wam miejsce, przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie **Ja jestem** (J 14,1-3).*

Jakże potężne emocje musiały opanować uczniów, kiedy obserwowali swojego Pana znikającego w obłoku, a potem usłyszeli od aniołów obietnicę Jego powrotu na Górę Oliwną. Zapewne natychmiast przypomnieli sobie to, co Jezus powiedział im w czasie Ostatniej Wieczerzy, która z czasem nabierała dla nich coraz donioślejszej wagi. W tę noc, gdy Jezus został wydany, dał im przecież tę samą obietnicę: *Przyjdę powtórnie* – oznajmił. A jednak w tych zapowiedziach zaczynała się rysować pewna zastanawiająca sprzeczność.

Chrystus powiedział, że wraca teraz do domu Ojca, a po krótkim czasie przyjdzie znowu, aby również uczniów tam zabrać, i odtąd będą z Nim już na zawsze. A więc powróci w dokładnie określonym celu: *i zabiorę was do siebie* (J 14,3a). Do tego dodał, że zabierze ich do bardzo konkretnego miejsca, do domu Ojca, do nieba: *abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem* (J 14:3b). Te słowa były jasne i nie budziły żadnych wątpliwości.

A jednak mówiąc o powrocie Jezusa na Górę Oliwną aniołowie nie wspomnieli o zabieraniu kogokolwiek do nieba. Jeżeli to miało być właściwym celem Jego przyścia, to aby go zrealizować, Jezus na pewno nie musiałby wracać dokładnie w to określone miejsce na przedmieściach Jerozolimy. Mógłby na przykład porwać swoich wiernych wysoko ponad ziemię na spotkanie z sobą w powietrzu. (To, że tak się istotnie stanie, Duch Święty miał objawić dopiero później ustami Pawła, który w chwili wniebowstąpienia Jezusa był wciąż jeszcze zaciekłym wrogiem Chrystusa i Jego Kościoła).

Prorok Zachariasz zapowiedział przed setkami lat, że kiedy stopy Mesjasza dotkną Góry Oliwnej, wraz z Nim przyjdą z nieba *wszyscy święci* (Za 14,5). Trudno zrozumieć te słowa inaczej niż w dosłownym ich sensie, a to znaczy wyraźnie, że zamiast brać kogokolwiek do nieba, Mesjasz powróci na Górę Oliwną, aby przynieść wybawienie otoczonemu przez wrogów Izraelowi. W kolejnych wersetach prorok twierdzi, że Mesjasz zniszczy armie najeźdźców, potem ustanowi swoje Tysiącletnie Królestwo i obejmie w nim rządy zasiadając na tronie Dawida w Jeruzalem.

Sprzeczność jest oczywista. Pojawienie się na ziemi Mesjasza, który przyjdzie po to, aby walczyć z narodami w czasie bitwy Armageddon, trudno pogodzić z obiecanym

powrotem w celu zabrania kogokolwiek do nieba. Poza tym jeśli uczniowie mają razem z Mesjaszem rządzić światem z Jerozolimy, to dlaczego mieliby być wcześniej zabrani do nieba? Najwyraźniej do zrozumienia tego planu brakuje jeszcze kilku istotnych elementów.

Możemy się zastanawiać, czy uczniowie zauważali tę oczywistą sprzeczność, i czy starali się ją rozwiązać. Większość dzisiejszych chrześcijan wydaje się jej nawet nie dostrzegać, więc tym bardziej nie stara się zrozumieć jej przyczyn. Ale na chwilę odejdźmy nieco od głównego tematu.

Błogosławiona nadzieja

Obietnica Chrystusa była jednoznaczna: *przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem* (J 14,3). Już w pierwszej chwili po uniesieniu się Jezusa w górę te niepojęte wcześniej słowa tchnęły otuchę w oszołomionych uczniów. Uzyskali pewność, że ich zmartwychwstały Pan wkrótce powróci i zabierze ich do domu Ojca. Przecież powiedział: *Nie zdążycie obejść miast Izraela, nim przyjdzie Syn Człowieczy* (Mt 10,23). A to nie mogło przecież trwać długo.

Ze wstydem wspominając wcześniejsze upadki, chcieli udowodnić swojemu Mistrzowi, jak sprawnie potrafią wykonać powierzone im zadanie – może w kilka tygodni, a z pewnością nie dłużej niż w kilka miesięcy. Jezus polecił im czekać, aż ześle z nieba Ducha Świętego, który da im siłę, aby byli Jego świadkami. Im szybciej wykonają swoją misję, tym szybciej On powróci, aby zgodnie z obietnicą zabrać ich do domu Ojca.

Mając żywo w pamięci słowa Jezusa – *przyjdę znowu* – pierwsi chrześcijanie żarliwie oczekiwali Jego powrotu. Jezus powiedział im, że nie są z tego świata, ale że On ich wybrał z tego świata. Wkrótce Paweł napisze pod natchnieniem Ducha:

Nasza bowiem ojczyzna jest w niebie. Stamtąd też jako Zbawcy wyczekujemy Pana naszego Jezusa Chrystusa, który przekształci nasze ciała poniżone na podobne do swego chwalebного ciała (Flp 3,20-21).

Obywatele nieba nie interesowali się tym światem. Nie należąc do niego z tęsknotą wyczekiwali, kiedy wreszcie znajdą się ze swoim Panem w wieczystym niebiańskim odpoczynku – w domu Ojca.

Pierwotny Kościół, nienawidzony, prześladowany i konsekwentnie zwalczany przez Imperium Rzymskie, znajdował ukojenie w niewzruszonej nadziei rychłego powrotu Chrystusa, który miał wyzwolić go od trudu życia i koszmaru cierpień. Paweł nazywał to oczekiwanie rychłego Pochwycenia *błogosławioną nadzieją* (por. Tt 2,13) i dla tych pierwszych wierzących, *palonych ogniem, uczestników cierpień Chrystusowych* (por. 1 P 4,12-13), było to naprawdę błogosławione przekonanie. Jak bardzo chcieli opuścić ten świat, aby być już z Nim na wieki.

Kiedy kolejne długie tygodnie przechodziły w lata, a lata w dekady i stulecia, większość z tych, którzy uważali się za wyznawców Chrystusa, zaczęła przywiązywać coraz mniej wagi do *błogosławionej nadziei*. Obietnica powrotu Chrystusa została wprawdzie podana

w wątpliwość, potem zaczęto zmieniać jej sens, aż w końcu zapomniano o niej zupełnie. Ostatecznie została całkowicie zagubiona pośród labiryntu nowych interpretacji i krzewiących się wszędzie herezji.

Zmieniały się warunki społeczno-polityczne i postawy ludzi. Koncepcja niebiańskiego obywatelstwa jawiła się jako zbyt nieokreślona i mało konkretna, aby przywiązywać do niej jakąś wagę. Zaistniała potrzeba czegoś znacznie bardziej namacalnego. Pozycja kogoś pogardzanego, nienawidzonego, prześladowanego i zabijanego jak Chrystus przestała się już wiązać z prawdziwym chrześcijaństwem. Przecież świat miał mimo wszystko coś do zaoferowania. Kościół mógł nawet pokusić się o władzę polityczną i pod nieobecność swego Pana zmienić ten świat. Większa tolerancja i otwartość na poglądy szerokich rzesz społeczeństwa mogła wręcz przybliżyć tym poganom ewangelię – zwłaszcza gdy zobaczą, że wiara w Chrystusa nie wiąże się już z prześladowaniami ani ze zmianą dotychczasowego sposobu życia.

Pierwszy Vicarius Christi (Zastępca Chrystusa)

Narastające powoli odstępstwo osiągnęło niewyobrażalne dotąd rozmiary wraz z dojściem do władzy nowego imperatora pod koniec 312 roku n.e. Został nim błyskotliwy dowódca i strateg wojskowy imieniem Konstantyn. Był on też genialnym politykiem i organizatorem. Właśnie zakończyły się najkrwawsze w dziejach prześladowania chrześcijan, zapoczątkowane edyktem Dioklecjana, i nowy władca stanął wobec zadziwiającego faktu, że mimo prawie trzech stuleci wysiłków cała potężna Imperium Rzymskiego nie zdołała zniszczyć tej dziwnej sekty. Jak na ironię, rozpowszechniła się ona tak bardzo, że już prawie dziesięć procent obywateli cesarstwa znajdowało się pod jej wpływem.

Przedziwne twierdzenie Tertuliana, mimo całej swej absurdalności, okazało się zaskakująco trafne. Istotnie „krew męczenników jest nasieniem Kościoła” – i było to niewytłumaczalne. Najwyraźniej ludziom nie wystarczały ziemskie przyjemności, bogactwo czy wysublimowane odpowiedzi filozofów. Pragnęli czegoś więcej, czegoś, co nadawałoby im wartość i sens ich życiu. Tylko coś, co było namacalną Prawdą i przekonaniem tak głębokim, że oddawano za nie życie, nadawało życiu wartość i sens.

Ci pierwsi uczniowie potrafili nawet modlić się za prześladowających ich rzymskich cesarzy, namiestników oraz żołnierzy, którzy ich zabijali. Dlaczegoż by nie wykorzystać tej wzorcowej lojalności wobec państwa, która wydawała się nierozzerwalną cechą tej dziwnej religii?

Chrześcijanie byli uczciwymi, ciężko pracującymi ludźmi. Nie pili ani nie buntowali się przeciwko władzy. Zbrojne powstania i rebelie nie leżały w ich naturze. Cóż więc stało na przeszkodzie, aby dać im pełnię praw, przysługujących przecież i tak wielu różnorodnym, nawet najdziwniejszym kultom na obszarze Imperium? Można by wręcz liczyć na rozpowszechnienie się ich postawy i etyki pracy. W interesie Cesarstwa Rzymskiego leżało wręcz to, aby było w nim jak najwięcej chrześcijan. Nowa koncepcja polityczna była bardzo pragmatyczna, a jej urzeczywistnienia domagała się racja stanu.

Wcielając w czyn swoją strategię Konstantyn sam ogłosił się chrześcijaninem,

choć nadal piastując godność *Pontifex Maximus* (Kapłan Najwyższy) pozostawał równocześnie głową starożytnego kolegium kapłańskiego cesarskiego Rzymu i przewodniczył najważniejszym pogańskim ceremoniom. Nie widział w tym żadnej sprzeczności, gdyż była to część jego obowiązków jako cesarza, a o jego przychylności dla nowej religii miało świadczyć udzielone chrześcijanom zezwolenie na budowę pierwszych kościołów. Świtała era tolerancji...

Uznawany za wcielenie bóstwa Imperator był zwierzchnikiem i najwyższym kapłanem oficjalnej religii Cesarstwa Rzymskiego. Wraz z formalnym uznaniem i zrównaniem w prawach z innymi religiami – chrześcijaństwo jak wszystkie inne kultury – zostało urzędowo podporządkowane cesarzowi. Jako zwierzchnik Kościoła chrześcijańskiego – Konstantyn do swojej imponującej tytulatury dołączył tytuł *Vicarius Christi* – Namiestnik Chrystusa¹, na takiej samej zasadzie jak wcześniej nazwał się Jovus – uosobieniem Jowisza. Wydając się największym przyjacielem i dobroczyńcą chrześcijaństwa, stał się jego niszczycielem.

Jezus odrzucił ofertę szatana, gdy ten obiecywał Mu władzę nad wszystkimi królestwami ziemi w zamian za złożony mu pokłon. Ale udręczony prześladowaniami Kościół nie miał dość siły i ulegając słabości przyjął tę propozycję, tyle że tym razem złożoną przez cesarza rzymskiego. Tak rozpoczęły się stulecia nazwane później przez reformatorów „niewolą babilońską” Kościoła.

Kiedy biskup Hippony Augustyn opisywał stan duchowy swoich wiernych, nie krył rozpaczy:

„Wielu też zobaczysz pijaków, chciwców, oszustów, graczy w kostki, cudzołóżników, porubców, świętokradców, noszących na sobie związane odczyny, zaklinaczy, wróżbiarzy lub jakimkolwiek bezecnym kuglarstwom oddanych guślarzy. Zauważysz, że owe tłumy napełniają kościoły w dni świąteczne – chrześcijańskie, i że te same tłumy napełniają i teatry w dni uroczyste – pogańskie”².

Jednak dla wielu ludzi uważających siebie za chrześcijan była to bardzo pożądana zmiana, zamiast dotychczasowej pogardy i prześladowań – szacunek, autorytet i władza.

Wcześniej poważne traktowanie ewangelii i życie jej słowem narażało na szykany, a nawet śmierć. W takich warunkach nie było wielkiej potrzeby, aby martwić się o szczerłość wiernych – cena wiary była wysoka, a sprawdzianem przekonania stawało się życie. Teraz jednak sytuacja wyglądała wręcz przeciwnie. Falszywe wyznania wiary stawały się regułą, a nie wyjątkiem.

Kościół poślubiony światu

W warunkach, jakie nastały za Konstantyna, bycie chrześcijaninem zaczęło

¹ Konstantyn przyjął tytuł „Zastępca Chrystusa”, gdyż z oczywistych względów nie mógł ogłosić się wcieleniem Chrystusa na ziemi (przyp. tłum.).

² Św. Augustyn, *De catechizandis rudibus liber unus* (CPL 297) PL 40, s. 343, przekład polski *Początkowe nauczanie katechizmu*, tł. Wł. Budzik, POK, t. 10, Poznań 1929, s. 63, cyt. za Adalbert-Gautier-Hamman, *Życie codzienne w Afryce Północnej w czasach św. Augustyna*, PAX, Warszawa 1989, s. 219.

popłacać. Bardzo szybko okazało się, że aby zająć prestiżowe stanowisko, zrobić karierę polityczną, finansową czy nawet wojskową, korzystnie jest uczęszczać do jednego z wyrastających jak grzyby po deszczu nowych kościołów. Im więcej powstawało tych nowych budowli, tym liczniej tłoczyli się w nich świeżo „nawróceni”, tyle że dla własnej korzyści i zwyczajnej wygody.

Zepsucie szybko dosięgło szczytu Kościoła. Najlepiej płatne, wiążące się z największymi wpływami i świeckim prestiżem urzędy w Imperium powiązano z pozycją w hierarchii Kościoła. Konstantyn popierał rozwój systemu eklezjalnego, który mógł później wykorzystać w służbie Imperium. „Kariera” w Kościele stała się atrakcyjna dla ambitnych ludzi chcących realizować swoje plany nie w świecie przyszłym, ale doczesnym.

Wielu, którzy wspięli się na najwyższe stopnie hierarchii Kościoła, było doskonałymi politykami, którzy świetnie opanowali terminologię chrześcijańską i znakomicie umieli posługiwać się nią do swoich celów, lecz nie mieli pojęcia o żywej relacji ze zmartwychwstałym Chrystusem. Jak napisał Will Durant w książce „Historia Cywilizacji” (*Story of Civilization*), rzymska religia pogańska „przepełniła jak matczyzna krew w tę nową religię i zdobyty Rzym opanował swojego zwycięzcę. Gdy chrześcijaństwo podbijało świat – świat zdobył chrześcijaństwo”. Ten tragiczny komentarz dotyczy narodzin rzymskiego katolicyzmu, który od tamtego czasu będzie dominującym wyznaniem chrześcijańskim na arenie dziejów.

Kościół miał być oblubienicą Chrystusa, z utęsknieniem wyczekującą powrotu Oblubieńca i zabrania do nieba. Jednak upływ lat zrobił swoje i w końcu zmęczona narzeczona uległa natarczywym zalotom, zamiast Jezusa poślubiając świat. Wkrótce Kościół rzymski, zajęty budowaniem ziemskiego królestwa, nad którym będzie panować w cudzołożnym związku z królami i cesarzami, zapomniał o *blagostawionej nadziei* i zaczął uważać się za prawowitego następcę ludu wybranego przez Boga na ziemi, czyli Izraela. Zastanawiające napomnienie Pana pokrył grubą warstwą kurzu zapomnienia:

Nie gromadźcie sobie skarbów na ziemi, gdzie mól i rdza niszczą i gdzie złodzieje włamują się i kradną. Gromadźcie sobie skarby w niebie, gdzie ani mól, ani rdza nie niszczą, i gdzie złodzieje nie włamują się i nie kradną. Bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje (Mt 6,19-21).

Kościół, nieposłuszny swojemu Panu, stał się najbogatszą instytucją świata, o której chwale i potędze miały świadczyć ziemskie skarby. Wiele spośród nich uzyskano ze sprzedaży zbawienia. Każdy grzech miał swoją cenę „odpuszczenia”. Im więcej było grzechów i im były one cięższe, tym bogatszy stawał się Kościół rzymski. Krzyże, które miały przedstawiać ofiarę Chrystusa, i ołtarze, na których rzekomo ją powtarzano, pokrywano złotem. Biskupi, kardynałowie i papieże, choć twierdzili, że dziedziczą swoją godność po bosych rybakach-apostołach, wiedli życie, które nie przystoi nawet świeckim władcom. Upadek Kościoła, zainicjowany przez Konstantyna, pogłębiał się przez stulecia, dając w efekcie znany nam dziś katolicyzm.

W czasie tzw. ciemnych wieków i w następnych stuleciach Kościół rzymski był uznawany przez władze świeckie za jedyny prawdziwy Kościół chrześcijański. Papieże mieli

swoje armie, brali udział w wielu wojnach (czasami jeden przeciwko drugiemu), zawierali polityczne przymierza z książętami, królami i cesarzami, nad którymi stopniowo przejmowali władzę. Nawet cesarze lękali się groźby ekskomuniki papieskiej, gdyż tylko heretycy wierzyli, że można uzyskać zbawienie nie należąc do zinstytucjonalizowanego kościoła. Ekskomunika oznaczała wieczne potępienie bez żadnej nadziei ratunku, to zaś dawało Kościołowi rzymskiemu władzę niemal absolutną.

Rzym stał się Wielkim Miastem mającym *władzę królewską nad królami ziemi* (Ap 17,18). Jego potęga nie opierała się na zasobach militarnych, gdyż z czasem utracił swoje legiony. Rzymska władza nad światem polegała na wszechobecności religijnej hierarchii, twierdzącej, że to w jej wyłącznym posiadaniu zdeponowano klucze do Królestwa Niebios, które Piotr otrzymał od samego Jezusa (por. Mt 16,19 BW). Przez stulecia Rzym był potęgą zakulisowo oddziałującą na świeckie rządy i na tyle wpływową, by polecać im niszczyć tych, których uznawał za heretyków. Dlatego współczesny Kościół rzymski nie bez podstaw wypiera się odpowiedzialności za śmierć ofiar niesławnej Inkwizycji, ponieważ egzekucje były rzeczywiście w większości przypadków wykonywane na rozkaz świeckich władców.

Utracona nadzieja Pochwycenia

Jezus nie miał już po co wracać. Utrzymując, że Konstantyn przekazał swoją władzę Kościołowi rzymskiemu, papieże żelazną ręką sprawowali rządy nad tym, co uważali za Królestwo Boże na ziemi. Do dziś noszą oni dumnie trzy religijne tytuły Konstantyna: Pontifex Maximus, Vicarius Christi i Biskup Biskupów.

Papieże z początku twierdzili, że tytuły te wraz z władzą cesarską zostały im nadane przez samego Konstantyna. Aby uzasadnić te roszczenia, Kościół rozpowszechnił dokument znany jako *Donacja Konstantyna*. Jednak dziś nawet historycy katolicki uznają go za celowe fałszerstwo. Już sam fakt, że taki dokument był niezbędny do uzasadnienia swoich roszczeń, jest niezbitym dowodem, iż doktryna papieskiej sukcesji, na której dzisiejsi papieże opierają swój autorytet i roszczenie praw do zwierzchności duchowej, jest znacznie późniejszą koncepcją..

Dzisiejszy Kościół rzymsko-katolicki nie zna nauki o Pochwyceniu. I nie może jej znać, ponieważ zaprzecza jej dwoma spośród swoich dogmatów: nauką o czyścicu i nauką o odpustach. Nawet istniejące nieprzerwanie przez stulecia stosunkowo nieliczne niezależne grupy ewangelicznie wierzących, uporczywie prześladowane przez Rzym, również w większości straciły nadzieję na Pochwycenie.

Wierny katolik w zależności od tego, jak wiele wycierpiał w tym życiu, ile dobrych uczynków spełnił, ile uzyskał odpustów, musi jeszcze spędzić niedający się bliżej określić i zróżnicowany w zależności od przypadku czas w czyścicu, cierpiąc za swoje grzechy, za które Chrystus także cierpiał na krzyżu. To niebiblijne nauczanie zaprzecza obietnicy Pisma:

...najpierw powstaną ci, którzy umarli w Chrystusie, potem my, którzy pozostaniemy przy życiu, razem z nimi porwani będziemy w obłokach w powietrze, na spotkanie Pana; i tak zawsze będziemy z Panem (1 Tes 4,16-17)

BW).

Z punktu widzenia katolickiej Tradycji równoczesne pochwycenie zmarłychwstałych *umarłych w Chrystusie* i wszystkich żyjących biblijnie wierzących jest niemożliwe. Jest tak, gdyż męki czyścicowe wszystkich zmarłych nie mogłyby dobiec końca w tej samej chwili, bez uwzględnienia wagi ich grzechów na ziemi, z kolei żywi zabrani w Pochwyceniu w ogóle nie mogliby trafić do czyśćca.

Reformacja niewiele zrobiła, aby przywrócić wiarę w tę nadal aktualną obietnicę Chrystusa: *przyjdę powtórnie i zabiorę was do siebie* (J 14,3), zagadnienie to nie było głównym przedmiotem zainteresowania reformatorów. Generalnie Kościoły luterzańskie czy prezbiterianie w ogóle przeczą idei Pochwycenia lub poświęcają jej tylko marginalną uwagę. Bezpieczniejsze wydaje się unikanie tematów budzących niegdyś tak wiele emocji. Twierdzi się z ironią, że najlepszym dowodem braku podstaw biblijnych dla nadziei rychłego Pochwycenia jest to, iż jak dotąd Jezus jeszcze nie powrócił.

Na nieszczęście kiedy w przeciągu ostatnich dwóch stuleci *błogosławiona nadzieja* powrotu Chrystusa co jakiś czas się odradzała, towarzysząca temu nieraz egzaltacja prowadziła do wyznaczania dokładnych dat, kiedy miałby on nastąpić, wskutek czego cała idea stała się przedmiotem powszechnych drwin i szyderstw. Ileż to razy fatalnie zwiedzeni gorliwcy wystawiali w białych szatach na szczytach wzgórz i dachach domów, a pozbywszy się dobrowolnie swoich ziemskich majątkości oczekiwali nadejścia Mesjasza o konkretnym czasie. Ten naiwny fanatyzm rodził gorzkie rozczarowanie i wstyd, rozwiewał złudzenia i doprowadził do sceptycyzmu, z jakim traktuje się dziś naukę o Pochwyceniu.

Zrozumiała apatia

Nadzieja Pochwycenia ponownie zyskała popularność wśród ewangelicznie wierzących z początkiem lat siedemdziesiątych, po ukazaniu się książki Hala Lindsey'a *The Late Great Planet Earth* oraz innych publikacji przybliżających tę biblijną doktrynę. Potem natomiast ukazało się „88 przyczyn na [Pochwycenie] w 1988”, a jeszcze później „89 przyczyn na 1989”.. Kiedy Chrystus nie przyszedł po swój Kościół ani we wrześniu 1988 roku, ani rok później (co zgodnie z zapewnieniami autora było obiecane w Piśmie), ekscytacja ustąpiła rozczarowaniu.

Jakiś czas temu kolejnym zwodzicielem był koreański „prorok” zapowiadający Pochwycenie na dzień 28 października 1992 roku. Wielu spośród jego wyznawców na całym świecie, a szczególnie w Korei, porzuciło pracę i porzuciło swój majątek w oczekiwaniu na obiecany rozwój wydarzeń. Jednak ten tak bardzo wyczekiwany dzień nadszedł i minął, i rozwiały się ich złudzenia, a został tylko wstyd i perspektywa dalszego mozołu na ziemi. Wkrótce okazało się, że ten nawołujący do wyzbycia się dóbr doczesnych przywódca zagarnął około 4 milionów dolarów z kasy kościoła, przewidując lokując je na własnym koncie w banku. Ciekawe, czy brał pod uwagę, że zaciąga w ten sposób zobowiązania, które będzie się musiał spłacać jeszcze długo po wyznaczonej przez siebie dacie Pochwycenia.

Nic dziwnego, że wobec takich nadużyć silniejszym od nadziei okazało się

rozczarowanie, które prawie całkowicie przesłoniło realność obietnicy Jezusa. Pochwycenie i Drugie Przyjście są dziś tematami kłopotliwymi i skrętnie omijanymi przez znaczną większość chrześcijan – i jak się wydaje, mają oni ku temu całkiem uzasadnione powody. Oba te wydarzenia, podobnie jak sama ewangelia, którą również głosili ci wyznaczający daty „prorocy”, stały się tematem powszechnych drwin i szyderstw.

Obecnie żyje na świecie około 1,7 miliarda ludzi określających siebie jako chrześcijanie i twierdzących, że uznają autorytet Słowa Bożego. Jednak większość z nich nie poświęca wiele uwagi Przyjściu Pana. Jego wspaniała obietnica *przyjdę znowu* (J 14,3 BW), nie zniknęła z kart Biblii i ciągle pozostaje dogmatem wiary chrześcijańskiej – jakkolwiek jest dziś uważana za niekonkretną, nieważną i kontrowersyjną. Po blisko 2000 lat, jakie upłynęły od chwili, kiedy nasz Pan wypowiedział te słowa, budzą one coraz mniej zainteresowania i nadziei.

Któż może przewidzieć, jak wiele jeszcze lat i stuleci upłynie, nim staną się one rzeczywistością? Przecież Biblia mówi, że dla Boga tysiąc lat jest jak *wczorajszy dzień, który minął, niby straż nocna* (Ps 90,4). Biorąc to pod uwagę, można by powiedzieć, że Chrystus odszedł zaledwie kilka godzin temu. Może więc mają upłynąć jeszcze tysiąclecia do Jego powrotu? Czy dla nas to jakaś różnica? Jest to podstawowe pytanie, na które należy znaleźć odpowiedź, bo przecież nasze życie nie obejmuje swoim trwaniem nawet jednego wieku.

Rozdział Dziesiąty

Godzenie sprzeczności

*„Powiedz nam, kiedy to nastąpi i jaki będzie znak Twego przyjścia i końca świata?”
Na to Jezus im odpowiedział:
[w następnych 28 wersetach wymienia wiele znaków a potem mówi:]
[...] kiedy ujrzycie to wszystko, wiedźcie, że blisko jest, we drzwiach.
[...] Dlatego i wy bądźcie gotowi, bo w chwili, której się nie domyślicie, Syn Człowieczy przyjdzie (Mt 24,3-4.33.44).*

Czyż to nie sprzeczność? Z jednej strony Chrystus deklaruje, że Jego przyjście będzie poprzedzone wystąpieniem na całym świecie wielu niezwykłych znaków: wojen, epidemii, głodu, trzęsień ziemi, czyli okresem „Wielkiego Ucisku”, jakiego świat dotąd nie znał ani już później nie doświadczy (por. Mt 24,21). Mają się pojawić nadnaturalne znaki na niebie: zaćmienie słońca i księżyca oraz widoczny dla wszystkich *znak Syna Człowieczego* (Mt 24,30). Zobaczą je wszyscy mieszkańcy ziemi, nikt nie będzie miał najmniejszych wątpliwości, że przyjście Chrystusa jest blisko, „we drzwiach”, i nikt nie będzie tym zaskoczony.

Z drugiej strony Chrystus równie jasno stwierdza, że Jego przyjście będzie zupełnie nieoczekiwane. Mamy więc do czynienia z oczywistą sprzecznością.

Niektórzy wierzący odpowiadają, że sprzeczność zanika, kiedy przyjmujemy, że tylko chrześcijanie będą zwracać uwagę na znaki. Czyż sam Paweł nie powiedział: *Ale wy, bracia, nie jesteście w ciemnościach, aby ów dzień miał was zaskoczyć jak złodziej* (1 Tes 5,4)? Bożych znaków nie będą mogli rozpoznać ci, którzy chodzą w duchowej ciemności, i to właśnie oni będą zaskoczeni. Owszem, ta argumentacja jest może przekonująca, ale zupełnie nie odpowiada temu, co na ten temat mówi Słowo Boże.

Katakлизmy, które wstrząsną światem

Znaki, o których mówi Jezus, a także apostołowie i prorocy, nie są tak subtelnej natury, aby do ich rozpoznania były potrzebne jakieś szczególne duchowe kwalifikacje. Wręcz przeciwnie, są one tak spektakularne i oczywiste, że wręcz nie mogą pozostać niezauważone czy zignorowane. Drugie Przyjście Mesjasza nie zaskoczy nikogo na ziemi.

Wydarzenia, które doprowadzą do powrotu Chrystusa na Górę Oliwną, będą tak bezprecedensowe i apokaliptyczne, że cały świat będzie miał świadomość, iż oto nadszedł czas przepowiedzianego setki lat wcześniej bezpośredniego spotkania Chrystusa i

Antychrysta. Biblia mówi, że: *Bestia [Antychryst], królowie ziemi i wojska ich* (por. Ap 19,19) zbiorą się razem na równinie Meggido, aby walczyć z Chrystusem (Ap 19,17-21) w bitwie nazwanej od tego miejsca Armageddonem (por. Obj 16,16 BW). I wszyscy będą mieli świadomość, że nadeszła krytyczna godzina ostatecznej konfrontacji.

Przyjrzyjmy się znakom, które Jezus wymienia w 24 rozdziale Mateusza, a potem przeczytajmy wstrząsający opis zniszczenia ziemi z 6 rozdziału Apokalipsy. Przez chwilę zapomnijmy o wszystkich innych miejscach Pisma, które także dotyczą zagłady.

Już wtedy, na tym wczesnym etapie „Wielkiego Ucisku”, jedna czwarta ludzkości zostanie zgładzona – obecnie byłoby to około 1,5 miliarda ludzi. Ziemią, ogarniętą wojną, wstrząsają niewyobrażalne kataklizmy. Spada deszcz niszczycielskich meteorytów, nasila się niebywale intensywne aktywność wulkaniczna, a towarzyszą jej tak gigantyczne wstrząsy skorupy ziemskiej, że *każda góra i wyspa [zostają] z miejsc swych poruszone* (Ap 6,14). W końcu do każdego człowieka dociera świadomość, że te doświadczenia są skutkiem Bożego gniewu. Zadufani w swojej pysze przywódcy [jak również niewolnicy i wolni – przyp. red.] są tak przerażeni, że krzyczą do gór i skał, aby spadły na nich i osłoniły ich przed żarem wylewanego na ziemię sądu Boga (Ap 6,15-17).

Chrystus więc nie ostrzega nas, abyśmy trwali „w gotowości”, bo inaczej przeoczymy subtelne, duchowe znaki zapowiadające Jego przyjście. Znaki, o których mówi nasz Pan, będą należały do kategorii zjawisk naturalnych, a ich skala będzie tak potężna i zatrwająca, że nie sposób będzie ich nie zauważyć, niezależnie od czyjejkolwiek duchowej ślepoty.

Nieunikniona sprzeczność

Chrystus z zupełnie innego powodu nakazuje nam „obserwować znaki”. Mówi, że przyjdzie w czasie, gdy zadowolona i pewna siebie ludzkość jak i pogrążony w duchowej drzemce Kościół (por. Mt 25,5) będą się tego najmniej spodziewać: *bo w chwili, której się nie domyślicie, Syn Człowieczy przyjdzie* (Mt 24,44). Nie zostaną dane żadne specjalne znaki, żadne z zapowiadanych katastrof jeszcze nie zaistnieją. Sąd Boży będzie ostatnią rzeczą, jakiej świat będzie oczekiwać tego dnia. Nie nastąpią żadne wcześniejsze ostrzeżenia. Świat znajdzie się w okresie spokojnej ciszy przed niszczycielskim huraganem i nikt nie będzie przeczuwać nadciągającej burzy.

Jezus ostrzegł, że powróci, kiedy życie na ziemi będzie wyglądało jak na krótko przed potopem:

...jedli i pili, żenili się i za mąż wychodziły aż do dnia, kiedy Noe wszedł do arki: nagle przyszedł potop i wygubił wszystkich (Łk 17,27).

Jezus powróci, kiedy ludzi będą zajmować zwykłe sprawy codziennego życia: zabawa, praca, rodzina, snucie planów na przyszłość. Dokładnie tak, jak było przed potopem. Dzisiaj także sąd Boga jest ostatnią rzeczą, jakiej oczekuje świat.

Z całą pewnością Chrystus nie może mówić w tym kontekście o swoim Drugim

Przyjściu, w czasie Armageddonu, kiedy ludzkość już prawie od czterech lat będzie smagana biczem gniewu Bożego, a świat legnie w gruzach, niepewnie balansując na krawędzi totalnego zniszczenia. Normalne warunki życia i pracy, pokój, bezpieczeństwo dawno odejdą w zapomnienie. Dlatego porównanie do czasów Noego może dotyczyć tylko stanu świata w chwili wcześniejszego przyjścia Jezusa. Aby zaskoczyć wszystkich, niepoprzedzone żadnym ostrzeżeniem przyjście Chrystusa musi nastąpić jeszcze przed czasem wielkich katastrof, o których mówi Jezus w 24 rozdziale Mateusza, przed wylaniem na ziemię opisanych w Apokalipsie sądów. Inaczej nie można by w ogóle mówić o podobieństwie do dni Noego i do świata sprzed potopu. Równocześnie Jezus mówi jasno, że powróci **po** okresie tych straszliwych katastrof, już **po** tym, jak przez kilka lat ogień Bożego sądu będzie trawić ziemię. Właśnie te kataklizmy będą znakami, które zgodnie ze słowami Chrystusa obwieszczają Jego przyjście. Nasuwa się wręcz zupełnie logiczny wniosek, że nie przyjdzie On, zanim one wszystkie nie nastąpią, aby nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że Jego powrót jest „we drzwiach”.

Cała ludzkość będzie miała świadomość bliskości powrotu Mesjasza. Znaki zapowiadające to wydarzenie będą dla wszystkich zrozumiałe i oczywiste. Jezus mówi o tym jednoznacznie. Zarazem jednak tak samo jasno zapowiada On, że nie będzie żadnych znaków ani sygnałów Jego ponownego przyjścia, ponieważ ma ono nastąpić w czasie, kiedy nic nie będzie na to wskazywać i nawet chrześcijanie nie będą uznawali tego wydarzenia za zbyt prawdopodobne. Ma ono nastąpić *w chwili, której się nie domyślacie* (Mt 24,44). Właśnie wtedy Chrystus powróci.

Sprzeczność jest oczywista: Jezus przyjdzie wtedy, kiedy nie będzie żadnych znaków ostrzegawczych, a równocześnie powróci, kiedy wszystkie znaki już się wypełnią i przerażą cały świat. Jezus przyjdzie jak „złodziej”, którego nikt nie będzie się spodziewał, a równocześnie przyjdzie, kiedy wszyscy będą oczekiwać Jego powrotu. Jak pogodzić te przeciwieństwa?

Dwa oddzielne wydarzenia: Pochwycenie i Drugie Przyjście

Jak to możliwe, że Jezus ma powrócić poprzedzony oczywistymi znakami swego przyjścia, a zarazem nadejść jak „złodziej w nocy”, kiedy tylko garstka wierzących (jeśli w ogóle ktokolwiek) będzie oczekiwać Jego przyjścia? Jak może przyjść, *kiedy (...) będą mówić: „Pokój i bezpieczeństwo”* (1 Tes 5,3), a równocześnie nadejść w czasie Armageddonu, najstraszliwszej zawieruchy wojennej, jakiej świat jeszcze nie widział? Jak święci mogą być **porwani w powietrze, na obłoki** (1 Tes 4,17), aby być na wieki z Chrystusem, a równocześnie przyjść wraz z Nim, **z nieba** (por. 1 Ts 3,13), towarzysząc Mu w dokonywaniu sądu nad ziemią?

Jak dwa tak bardzo sprzeczne scenariusze wydarzeń mogą być równocześnie prawdziwe? Istnieje tylko jedna możliwa odpowiedź. Z całą pewnością te dwa diametralnie różne opisy nie mogą odnosić się do tego samego wydarzenia.

Przekonaliśmy się już, że mówiące o Mesjaszu przepowiednie Starego Testamentu nie opisywały jednego wydarzenia ani w sensie przestrzennym, ani czasowym. Nie mówiąc

tego wprost, prorocy zapowiadali dwa przyjścia Mesjasza. Nic nie usprawiedliwia współczesnych Chrystusowi, że nie zrozumieli tego faktu. Podobnie i dzisiaj nie ma wytłumaczenia dla naszej obojętności wobec jedynego logicznego wniosku, że to, co Biblia mówi o Jego powrocie, nie może wydarzyć się w tym samym czasie, dotyczyć jednego wydarzenia.

Muszą nastąpić dwa oddzielne przyjścia Chrystusa. Obydwa należą ciągle jeszcze do przyszłości, a wydarzą się w dwóch różnych okresach. Nie ma innej możliwości, aby pogodzić z sobą dwie tak różne, wzajemnie sprzeczne relacje Pisma Świętego o powrocie Jezusa Chrystusa. Z Jego własnych słów wynika, że okoliczności i warunki panujące na ziemi w czasie pierwszego z tych przyjść będą dokładnym przeciwieństwem sytuacji podczas drugiego.

Nie można zmieścić w obrębie jednych ram przestrzennych i czasowych chwalebnych zabrania wszystkich wierzących **do nieba** oraz zstąpienia Chrystusa wraz z nimi **z nieba** dla ocalenia Izraela w czasie Armageddonu. Kiedy nastąpi Pochwycenie, nie będzie się tego spodziewać żaden człowiek niewierzący, a oczekiwać tego wydarzenia będzie tylko niewielu chrześcijan. Drugie Przyjście nie będzie już natomiast zaskoczeniem dla nikogo, ponieważ dokona się po okresie niebywałych kataklizmów na ziemi, nazywanym przez Biblię czasem „Wielkiego Ucisku”. Cały świat będzie wiedział, że zdarzenie to musi teraz nastąpić.

Drugie Przyjście jest kulminacją „Wielkiego Ucisku” i wydarzy się w czasie Armageddonu. Wojska zjednoczonego świata opanują już większą część Izraela i skierują się bezpośrednio przeciwko Jerozolimie. Ich celem będzie doprowadzenie do końca tego, co Hitler określał eufemistycznie „ostatecznym rozwiązaniem problemu żydowskiego” – czyli spowodowanie całkowitej zagłady wszystkich Izraelitów i zapewne wszystkich Żydów na całej ziemi (Za 12).

Stojąc w obliczu totalnej zagłady, Izrael na pewno podejmie próbę desperackiej obrony i nie zawaha się użyć broni nuklearnej. Nad całą ludzkością, a nawet nad wszelkim życiem na ziemi zawiśnie groźba unicestwienia, coraz bliższa i coraz bardziej realna, w miarę postępującej eskalacji działań wojennych. Kiedy Jezus mówi o tej chwili, używa zatrważającego sformułowania: *Gdyby ów czas nie został skrócony, nikt by nie ocalał [żywy]* (Mt 24,22).

Jezus będzie musiał wkroczyć tak bezpośrednio na arenę dziejów nie tylko po to, aby ratować Izrael, ale i dlatego, aby ocalić życie na ziemi.

Potajemne Pochwycenie

Pochwycenie i Drugie Przyjście muszą być niewątpliwie dwoma różnymi wydarzeniami. Drugie Przyjście, na koniec okresu zwanego „Wielkim Uciskiem” i w czasie Armageddonu, nie zaskoczy nikogo. Pochwycenie, które nastąpi w czasie pokoju i dobrobytu, będzie zupełną niespodzianką dla świata i szeroko pojętego Kościoła. Miliony chrześcijan – i całkiem prawdopodobne, że wszystkie małe dzieci – nagle znikną z

powierzchni ziemi, i nikt nie będzie wiedział, jak i dlaczego. Ci co zostaną, nie uwierzą, że to Chrystus ich „porwał” i zabrał do domu swego Ojca w niebie. Jedyne wiarygodne dla nich wytłumaczenie (o czym powiemy później) poda człowiek określany w Piśmie Świętym jako Antychryst, który w tym czasie przejmie władzę nad światem. Jego wyjaśnienia zaspokoją ciekawość ludzi, ale będą całkowitym fałszem.

Biblia kilka razy porównuje przyjście Chrystusa do „złodzieja”, który zakrada się potajemnie w nocy, gdy wszyscy śpią. Piotr pisze: *A dzień Pański nadejdzie jak złodziej* (2 P 3,10 BW), Paweł dodaje: *jak złodziej w nocy* (1 Tes 5,2). Złodziej nie bez przyczyny zjawia się o takiej porze i w taki sposób, żeby nikt nie był świadomy jego przyjścia. Szybko zabiera to, na czym mu zależy, i znika nie budząc nikogo.

Analogicznie Pochwycenie będzie potajemnym zabraniem przez Boga swojego „łupu” z ziemi. Chrystus ogłasza: *Oto przyjdę jak złodziej* (Ap 16,15). Potajemnie, jak złodziej, Jezus zabierze ze świata swój Kościół. Świat nie będzie wiedział, dlaczego nagle zniknęły miliony ludzi, stanie przed faktem dokonanym. Ci, którzy twierdzą, że „potajemne Pochwycenie” nie jest zapowiadane w Biblii, powinni starannie przeanalizować słowa Pisma.

Pochwycenie niepoprzedzone żadnymi znakami

Uważamy nie tylko, że Pochwycenie (czyli przyjście **po świętych** [paruzja – przyp. red.]) będzie miało miejsce jako pierwsze, a dopiero potem, po siedmiu latach nastąpi Drugie Przyjście (**ze świętymi** – do Izraela). Twierdzimy również, że Pochwycenia nie poprzedzą żadne znaki, nie będzie żadnych wcześniejszych ostrzeżeń. Znaki będą zapowiadać tylko Drugie Przyjście.

Kiedy Chrystus w tajemnicy zabierze swoich świętych do nieba, świat będzie pogrążony w błogim samozadowoleniu, pochłonięty pogonią za przyjemnością i dobrobytem. Wszystko będzie wskazywało, że oto wreszcie znalazł się na najlepszej drodze do eliminacji nurtujących go bolączek, do rozwiązania problemów ekologicznych i ustanowienia trwałego, globalnego pokoju. Każda wzmianka o Pochwyceniu spotka się z pogardą i śmiechem, jedynie garstka chrześcijan będzie kultywować pamięć o tym z dawna zapowiadającym wydarzeniu – wydarzeniu, które przecież miało być nadzieją **wszystkich wierzących**. Cóż, można by rzec, że tak właśnie wygląda dziś sytuacja w Kościołach ewangelicznych. Ilu wierzących wyczekuje żarliwie i tęskni do chwili, kiedy Jezus zabierze ich do nieba?

Jak zobaczymy na następnych stronach tej książki, wiele spośród znaków zapowiadających Drugie Przyjście jest już obecnych w dzisiejszym świecie. Inne zaczynają dopiero świtać na horyzoncie, rzucając swój długi cień w naszym kierunku, jak wskazówki odwiecznego zegara historii, kontrolowanej przez Boga. Trudno oprzeć się wrażeniu, że scenografia została już ustawiona i kurtyna lada moment pójdzie w górę, rozpoczynając ostatni akt dziejów ludzkości. Aktorzy obsadzeni w rolach głównych (w tym Antychryst) niecierpliwie czekają za kulisami na chwilę, w której wejdą na scenę i wprowadzą w życie swoje zamierzenia. Nie wiedzą jeszcze o tym, że w rzeczywistości będą grać role napisane przed tysiącami lat, w szczegółowym scenariuszu proroków.

Ostatni akt wydarzeń na ziemi Biblia nazywa *dniem Pana* (1 Tes 5,2), a rozpocznie

się on w chwili Pochwycenia i przyjdzie niespodziewanie jak *złodziej w nocy*. Inne wydarzenie, określane mianem Drugiego Przyjścia, nie oznacza początku *dnia Pańskiego*, gdyż nie będzie ono dla nikogo zaskoczeniem. Jest bardzo istotne, abyśmy w pełni zrozumieli, że wszystkie znaki podane w Biblii odnoszą się właśnie do Drugiego Przyjścia.

Żaden znak nie poprzedza Pochwycenia, ale kiedy ono już nastąpi, wszystko na ziemi ulegnie przemianie. A to może się zdarzyć w każdej chwili.

Dziś bardziej niż kiedykolwiek wcześniej mamy wszelkie powody ku temu, aby oczekiwać rychłego powrotu naszego Pana. Jak długo jeszcze? Jedną z pierwszych oznak bliskości powrotu Chrystusa jest dzisiejszy pograżony w rozleniwieniu Kościół, coraz głębiej zanurzający się w odstępstwo. Znaków zapowiadających Drugie Przyjście jest coraz więcej, a przecież Pochwycenie musi je poprzedzić o siedem lat. Z pewnością jesteśmy już blisko, z każdym dniem bliżej.

Rozdział Jedenasty

Znaki czasów

Gdy ujrzycie chmurę podnoszącą się na zachodzie, zaraz mówicie: „Deszcz idzie”. I tak bywa. A gdy wiatr wieje z południa, powiadacie: „Będzie upał”. I bywa. Obludnicy, umiecie rozpoznawać wygląd ziemi i nieba, a jakże obecnego czasu nie rozpoznajecie? (Łk 12,54-56).

Człowiek Jezus z Nazaretu, zwany Chrystusem, twierdził o sobie, że jest Bogiem. Narodził się z dziewicy, nie popełnił grzechu, umarł śmiercią krzyżową i trzeciego dnia zmartwychwstał. To wszystko się wydarzyło, należy do historii i obecnie nikt poważny nie podaje jej w wątpliwość, nawet jeśli wielu się nią dziwi lub ją lekceważy. A jednak pojawienie się na ziemi Jezusa z Nazaretu jest nie tylko zagadnieniem historycznym, wydarzeniem, które nastąpiło i odcisnęło niezatarte piętno na dziejach ludzkości, ale i dowodem na prawdziwość zawartych w Biblii hebrajskiej prorocत्व, które zostały wypełnione przez Jezusa. Zastanówmy się, jakie ma to znaczenie dla nas.

Kiedy Jezus przyszedł na ziemię po raz pierwszy, wypełnił z niezwykłą precyzją dziesiątki bardzo szczegółowych prorocत्व od setek lat zapisanych w hebrajskim Starym Testamencie [*Tanach* – przyp. red.]. Uznając prawdziwość tego faktu, możemy z wielkim prawdopodobieństwem zakładać, że Pochwycenie i Drugie Przyjście równie dokładnie zrealizują prorocki scenariusz. Zarówno pierwsze przyjście Jezusa na ziemię, jak i Jego przyszły powrót nie są samodzielnymi, niezależnymi od siebie wydarzeniami, ale stanowią integralne części Bożego planu obejmującego całość dziejów wszechświata. Każda z tych części pasuje do pozostałych tak dokładnie i jest z nimi powiązana tak dogłębnie, jak najwymyślniej powycinane elementy wielkich puzzli. Każda może zostać zrozumiana tylko w odniesieniu do całości.

Jest to kolejny aspekt unikatowości Jezusa na tle założycieli innych wielkich religii. Żadne prorocत्व nie zapowiada powrotu Buddy, Konfucjusza czy Mahometa ani jakiegokolwiek innego „proroka”. Muzułmanie sugerują, że kiedy Jezus powiedział: „Poślę wam innego Pocieszyciela” (por. J 14,16), zapowiedział przyjście Mahometa. Jednakże słowa Jezusa są zbyt konkretne, by dawać podstawy do tak daleko idącej interpretacji. Mesjasz zapowiada, że Pocieszyciel, pochodzący *od Ojca*, to *Duch Prawdy* (J 14,17; 15,26), nie zaś Mahomet, który w Koranie zaprzecza, że Bóg jest Ojcem i że ma On Syna³. Jezus

³ „Mesjasz, Jezus syn Marii, jest tylko posłańcem Boga; i Jego Słowem, które złożył Marii; i Duchem

powiedział, że Pocieszyciel *przebywa wśród was i w was będzie* (J 14,17 BW). Wynika stąd, że Pocieszyciel, który przebywał wśród uczniów już 500 lat przed narodzinami Mahometa, z oczywistych względów nie mógł być Mahometem.

Chrystus-Człowiek-Bóg pojawił się na ziemi tylko raz, ponad dwa tysiące lat temu. Okoliczności Jego narodzin i śmierci były dokładnym odwzorowaniem tego, co napisali prorocy. Pewnego dnia Chrystus powróci, być może już wkrótce, i będzie to tak samo jak wcześniej zgodne z zapowiedziami proroków. Dogłębniej przestudiujemy je na kolejnych stronach.

Proroctwo umożliwia dokładną identyfikację

Czemu służą proroctwa? Do czego są potrzebne? Można wymienić co najmniej dwie zasadnicze przyczyny ich istnienia. Przede wszystkim dowodzą, że Bóg, który stworzył ludzi, nie przestał interesować się swoimi stworzeniami ani nie stracił kontroli nad biegiem dziejów. Są bezsprzecznym świadectwem, że bezustannie panuje On nad historią i sprawia, że wszystko dzieje się zgodnie z Jego wolą. Wola ta określa plan, który obejmuje Jego lud Izrael, Mesjasza oraz Kościół. Bóg chce, abyśmy znali Jego zamierzenia jeszcze przed ich realizacją, i dlatego objawia je przez proroków.

Po drugie, proroctwa mają służyć do rozpoznania Mesjasza. Na przestrzeni dziejów pojawiało się bardzo wielu fałszywych „mesjaszy”. Często podawali się za „jedyne i prawdziwe”, chcąc uwiarygodnić reprezentowany przez siebie system wierzeń. Biblia twierdzi, że Antychryst też będzie podawał się za Chrystusa, a jego niezwykle inteligentne i przekonujące twierdzenia wydadzą się bardzo wiarygodne. Dlatego tylko ci, którzy wcześniej poznają proroctwa, będą w stanie zdemaskować to przebiegłe kłamstwo szatana.

Wszystko, co było konieczne do rozpoznania Jezusa w czasie Jego pierwszego przyjścia, i wszystko, co będzie potrzebne, aby zidentyfikować Go, kiedy powróci, zostało już zapowiedziane przez proroków. Dzieje cielesnego życia Mesjasza na ziemi są niezbitym dowodem Jego tożsamości, co z kolei daje nam absolutną pewność naszego zbawienia. Nie mniej istotne jest, że najlepszym sposobem przekonywania niewierzących i doprowadzania ich do poznania Zbawiciela jest przedstawianie im dowodów prawdziwości przesłania Biblii, a są nimi właśnie proroctwa.

Istnieje jeszcze jeden bardzo istotny aspekt proroctw, który jednak nie jest już tak powszechnie akceptowany, a jest nim umiejętność rozpoznania znaków czasu, oznajmiających bliskość powrotu Chrystusa. W Słowie Bożym czytamy, jak brak wiary i obojętność wobec proroctw doprowadziły do nierozpoznania i ukrzyżowania Mesjasza w czasie Jego pierwszego przyjścia.

Przywódcy religijni Izraela nie potrafili dostrzec faktu, że Mesjasz musi zostać odrzucony przez własny naród i ukrzyżowany. Aż do chwili zmartwychwstania ten sam problem dotyczył nawet najbliższych uczniów Jezusa. Oni też nie rozumieli, że kiedy

pochodzącym od Niego. Wiercie więc w Boga i Jego posłańców i nie mówcie: »Trzy!« Zaprzestańcie! To będzie lepiej dla was! **Bóg – Allah – to tylko jeden Bóg! On jest zbyt wyniosły by mieć syna!**” (Sura IV, werset 171, *Koran*, z arabskiego przełożył i komentarzem opatrzył Józef Bielawski, Warszawa 1986 [przyp. tłum.]).

Chrystus uroczyście złożył im obietnicę: *Przyjdę powtórnie* (J 14,3), była ona jeszcze jednym dowodem na to, że to właśnie On jest prawdziwym Mesjaszem – Zbawicielem świata.

A przecież właśnie najważniejszą częścią świadectwa proroków Starego Testamentu była zapowiedź, że Mesjasz musi przyjść więcej niż jeden raz. Setki lat wcześniej poświadczali oni prawdziwość obietnicy Jezusa, tak niepojętej dla uczniów: *Przyjdę powtórnie*.

Dlaczego właśnie teraz – po tylu wiekach?

A jednak deklaracja Jezusa zdaje się wielce problematyczna, ponieważ po ponad dwóch tysiącach lat Mesjasz ciągle jeszcze nie powrócił. Kolejne pokolenia wierzących zeszyły z tego świata nie doczekawszy się spełnienia swojej żarliwej nadziei i wysłuchania swych modlitw. Dlaczego więc to właśnie w naszych czasach wypełnienie się tej zapowiedzi miałooby być bardziej prawdopodobne?

Jak blisko jesteśmy? I czy w ogóle można stawiać takie pytanie? Podobne wątpliwości żywi wielu szczerze wierzących chrześcijan. Jednak skoro tak wiele objawiono prorokom, czyż nie może się zdarzyć, że odpowiedź tkwi gdzieś zapomniana w przeoczonych ongiś przez kapłanów wersetach, które i my dzisiaj omijamy? Z pewnością możliwość odkrycia odpowiedzi czyni uważne studium prorocत्व najbardziej pasjonującym nakazem chwili.

Tej zastanawiającej i wciąż niespełnionej obietnicy: *Przyjdę powtórnie* nie można rozpatrywać w oderwaniu od kontekstu całości Pisma. Nie zapominajmy, że Ten, który ją dał, przyszedł na ziemię właśnie po to, aby wypełnić liczne i szczegółowe prorocत्व Starego Testamentu. Wszystko, co powiedział i uczynił, oraz wszystko, co uczynili Mu ludzie, było realizacją prorocत्व sprzed stuleci.

Równocześnie jednak nie ma żadnych wątpliwości, że Jezus opuścił tę ziemię nie wypełniwszy prorocत्व mesjańskich w całości, aby więc dokończyć misję, musi powrócić zgodnie ze słowami proroków. Uczniowie zbyt wąsko patrzyli na prorocत्व. Przyglądali się poszczególnym elementom układanki nie potrafiąc dostrzec całych połąci znacznie większego obrazu, którego były częścią. Ale my nie różnimy się od nich zbyt i musimy być bardzo ostrożni, aby nie stracić z oczu całości. Jeśli chcemy zrozumieć wydarzenia należące jeszcze do przyszłości, powinniśmy spojrzeć na obietnicę Chrystusa w pełnym kontekście odwiecznego planu Boga.

Pan wszech rzeczy dołożył wszelkich starań, aby udzielić natchnienia swoim prorokom i chronić swoje Słowo na przestrzeni wieków, tak aby dać swemu ludowi wystarczające środki do rozpoznania Mesjasza w czasie Jego pierwszego przyjścia. Czyż można zatem wątpić, że Bóg z równą troską zadba o to, aby prorocत्व dały podobny wgląd w Pochwycenie i Drugie Przyjście? Wierzmy, że tak właśnie jest, i udowodnimy to na podstawie Pisma Świętego.

Jezus oskarżył przywódców duchowych Izraela o nieumiejętność rozpoznania znaków czasów, w których żyli: *Obludnicy, umiecie rozpoznawać wygląd ziemi i nieba, a jakże obecnego czasu nie rozpoznajecie?* (Łk 12,56). Najwyraźniej to na nich ciążyła wina

za nieznamość znaków podanych w Piśmie, a więc i za niezastosowanie się do ich wskazówek. Taka sama odpowiedzialność spoczywa na nas dzisiaj.

„Znaki” Jego Przyjścia

Większość chrześcijan zadowala się myśleniem, że Chrystus wróci, kiedy ma wrócić, i nie ma najmniejszej potrzeby wcześniejszego zaprzątania sobie tym głowy. W końcu i tak nic nie można zrobić, żeby ten dzień przyspieszyć ani też żeby go opóźnić. Wychowywanie dzieci, zarabianie na życie, troska o rodzinę i o emeryturę na starość nie pozostawiają wiele czasu na zajmowanie się jakimś hipotetycznym wydarzeniem. W dodatku mało prawdopodobne, że w ogóle dojdzie do niego za naszego życia. Obawa przed powtórzeniem żenujących, fanatycznych ekscesów z przeszłości wydaje się dostatecznym powodem, aby nie koncentrować się na oczekiwaniu jakiegoś odległego powrotu Chrystusa. Istotnie, powód ten wydaje się wystarczający, ale tylko do czasu, gdy dokładniej wczytamy się w słowa Jezusa.

Jezus i Jego uczniowie określili bardzo konkretne znaki, których mamy oczekiwać, a które obwieszczą bliski powrót Mesjasza. Rodzi się pytanie – w jakim celu mieliby w ogóle podawać te znaki, jeśli nie po to, aby dostrzegło je jakieś przyszłe pokolenie i rozpoznało dzięki nim, że Drugie Przyjście jest już – jak mówi Jezus – *we drzwiach* (Mt 24,33)?

Tylko że jeśli Pochwycenie ma nastąpić na siedem lat przed Drugim Przyjściem, to przecież znaki nie mogłyby być przeznaczone dla nas, ludzi sprzed Pochwycenia. Istotnie tak mogłoby się wydawać. A jednak Chrystus nakazał swoim wyznawcom, aby czekali na Jego przyjście, i ostrzegał, aby nie dali się zaskoczyć – a zaskoczenie może dotyczyć tylko Pochwycenia. Czy i w tym miejscu mamy do czynienia ze sprzecznością, tym razem jednak nie do pogodzenia?

Jeśli pragniemy rozwiązać ten problem i poznać odpowiedź, to z pewnością znajdziemy ją w Słowie Bożym. Jezus powiedział: *A gdy się to dzieć zacznie, nabierzcie ducha i podnieście głowy, ponieważ zbliża się wasze odkupienie* (Łk 21,28). *Gdy się to dzieć zacznie [...] podnieście głowy?* Początek znaków nie może obwieszczać Drugiego Przyjścia, gdyż to wydarzenie nie nastąpi, zanim się one wszystkie nie wypełnią. Czyżby więc tym stwierdzeniem Chrystus odnosił się do Pochwycenia?

Kiedy Jezus w odpowiedzi na prośbę uczniów, aby podał im znaki zapowiadające Jego powrót, wymienił długą listę zdarzeń (wojny, wieści wojenne, zarazy, trzęsienia ziemi, głód itp.), znowu użył słowa *początek* (Mt 24,8 BW), i to w interesującym kontekście: *Ale to wszystko to dopiero początek boleści* (Mt 24,8 BW). Zastanawiające jest greckie słowo przetłumaczone jako „boleść” – oznacza ono zasadniczo bóle porodowe.

Jezus mówi, że zdarzenia te zaczną się dzieć przed Jego Drugim Przyjściem. Będą się stopniowo nasilać jak bóle porodowe. Wydaje się nawet, że będą miały miejsce przed Pochwyceniem. Jak to więc możliwe, że Pochwycenie zaskoczy kogokolwiek? Ponieważ znaki wymienione przez Jezusa należą do kategorii zjawisk, które świat zna od zawsze: trzęsienia ziemi, zarazy, głód, wojny itp. Posiadają one jednak pewne szczególne cechy, które nigdy dotąd nie występowały, a w każdej chwili mogą pojawić się po raz pierwszy w

dziejach. Omówimy je w kolejnym rozdziale.

Wyznaczanie daty i fanatyzm nie znajdują swego uzasadnienia w Piśmie Świętym i nie świadczą o rozwadze. Ale tak samo nierozumne byłoby ignorowanie ostrzeżeń Chrystusa o niebezpieczeństwie zaskoczenia. Jak wszystkie pokolenia przed nami, tak i my jesteśmy odpowiedzialni za śledzenie znaków Jego Przyjścia i określenie, jakie mają one odniesienie do czasów nam współczesnych. To, że inni pomylili się kiedyś w swojej interpretacji Pisma i – ku własnej zgubie – błędnie wyznaczyli datę powrotu Chrystusa, nie ma dla nas większego znaczenia. Naszą odpowiedzialnością jest dzisiaj znać znaki i umieć posłużyć się tą wiedzą w uzasadniony biblijnie sposób.

Czy mimo tych ustawicznych pomyłek minionych pokoleń jest możliwe, że posiadamy dzisiaj głębszy wgląd w proroctwa, który im nie był dany? Czy takie twierdzenie nie jest przejawem zarozumiałstwa? Mogłoby tak być, gdyby nie pewien oczywisty, aczkolwiek powszechnie ignorowany fakt, o którym powiemy później. Jak wkrótce zobaczymy, jesteśmy pierwszym pokoleniem tych, którzy mogą z całą pewnością przyznać, że na ich oczach dzieją się wydarzenia, które zapowiedział Chrystus.

Całość misji Jezusa jest kluczem do zrozumienia zagadki

Aby zrozumieć pełne znaczenie obietnicy Chrystusa: „*Przyjdę powtórnie*” i aby podjąć próbę ustalenia, jak wiele czasu dzieli nas jeszcze od spełnienia tej obietnicy, musimy przestudiować cały zasób proroctw biblijnych. Nie wystarczy przeanalizować słowa samego Chrystusa i nauczanie apostołów po Jego odejściu z ziemi. Proroctwa Starego Testamentu będą co najmniej tak samo pomocne, ponieważ przepowiadają nie tylko pierwsze przyjście, ale i powrót Jezusa. Dlatego nasze poszukiwania musimy rozpocząć właśnie od nich. Bardzo szybko zauważymy, że proroctwa stanowią kręgosłup Bożego Słowa. Są jednym z wyznaczników jego wyjątkowości i posiadają moc przekonywania zagubionych serc ludzi, którzy szukają.

Bóg powiedział: *Bo Pan Bóg nie uczyni niczego, jeśli nie objawi swego zamiaru sługom swym, prorokom* (Am 3,7). Jeśli chcemy znać tajemnice Boga i zrozumieć całość tego, co zaplanował, musimy przestudiować wszystko to, co powiedział przez proroków. To właśnie za ich pośrednictwem Bóg wyjaśnia swój odwieczny plan, opisując nawet szczegóły wydarzeń, które będą miały miejsce dla naszego dobra i na Jego chwałę.

Ukrzyżowanie Chrystusa i Jego odejście z ziemi nie było przypadkowym efektem przerwanej misji, ale pomyślnym zakończeniem **pierwszej jej fazy**. Obietnica Jego powrotu jest zapewnieniem, że zadanie, które jasno określili prorocy, zostanie ukończone. Cel, który sprowadził na ziemię Mesjasza, był znacznie szerszej natury, niż wyobrażali to sobie uczniowie.

Jezus powróci na ziemię, aby doprowadzić do końca swoje dzieło. Chcąc to zrozumieć, musimy poznać całość objawionego w Piśmie Świętym Bożego planu, od zamierzczłej przeszłości, od samych początków aż do nieskończonej przyszłości. Jeśli pominiemy w naszych poszukiwaniach ten niezbędny element, nigdy nie będziemy w stanie pojąć zależności między czasem triumfalnego powrotu Jezusa w mocy i chwale

a Jego odrzuceniem i ukrzyżowaniem. W tym celu zwrócimy się do biblijnego zapisu ukazującego początki zła, wskutek którego przyście Mesjasza stało się konieczne.

Rozdział Dwunasty

U źródeł zła

*O, jakże spadłeś z nieba,
ty, gwiazdo jasna [łac. Lucifer], synu jutrzeńki!
Powalony jesteś na ziemię,
pogromco narodów!
A przecież to ty mawiałeś w swoim sercu:
Wstąpię na niebiosy,
swój tron wyniosę ponad gwiazdy Boże
i zasiądę na górze narad, na najdalszej północy.
Wstąpię na szczyty obłoków,
zrównam się z Najwyższym.
A oto strącony jesteś do krainy
umarłych, na samo dno przepaści (Iz 14,12-15 BW).*

Czym jest zło? Skąd się wzięło? Dlaczego w ogóle istnieje i jakie są jego początki? Te stawiane od wieków pytania nie są obce i nam. Nauka, filozofia, psychologia, socjologia, antropologia – żadna z tych dziedzin ludzkiej wiedzy nie zdołała nawet zbliżyć się do rozwiązania problemu zła. Niektóre nawet nie chcą uznać jego istnienia.

Natchniony przez Ducha Świętego prorok Izajasz uchyla lekko zasłonę i umożliwia nam krótkie spojrzenie na początki zła, rzut oka na sens niepojętych wydarzeń, które zaszły kiedyś w niebie. Cytowany na początku tego rozdziału tekst nie wspomina, kiedy miały one miejsce, koncentruje się natomiast na osobie Lucyfera jako najpiękniejszej, najpotężniejszej i inteligentniejszej z istot stworzonych przez Boga. Lecz oto tajemnica tajemnic: właśnie w sercu tej wspaniałej istoty zrodził się niebywale zuchwały plan buntu przeciwko Bogu. Niewytłumaczalny dramat wybujałych ambicji dał początek niedoskonałości w doskonałym Bożym wszechświecie. Wraz z nim nadszedł nieunikniony chaos i upadek na kosmiczną skalę, który zagroził ludzkości strąceniem na dno piekła. Na ziemi pojawiła się potrzeba Mesjasza, który jako jedyny mógłby ocalić upadły rodzaj ludzki.

Jak i dlaczego właśnie w sercu Lucyfera zrodziła się idea buntu przeciwko Bogu, który go stworzył? Dlaczego egoistyczne ambicje mogły opanować tak doskonałą istotę, doświadczającą dotąd głębi obecności Bożej? W tym miejscu

docieramy do granic naszego poznania, poza które umysł ludzki nie sięga. Paweł mówi o *tajemnicy bezbożności* (2 Tes 2,7), która zrodziła się z obłąkanej żądzы Lucyfera, aby „zrównać się z Najwyższym” (por. Iz 14,14 BW).

Chociaż samo zło pozostaje niepojęte, miejsce i sposób jego narodzin nasuwają nam wnioski, z których wiele możemy się nauczyć. Wprost trudno sobie to wyobrazić, ale tak groteskowe ambicje zrodziły się w niebie, w sercu *pełnego mądrości i niezrównanie pięknego* (Ez 28,12) *wielkiego cheruba* (Ez 28,14). Bardzo możliwe, że był on również w jakiś sposób zwierzchnikiem niebiańskich chórów (por. Iz 14,11; Ez 28,13 BW), sprawującym pieczę nad muzyką niebios. Zło znalazło swój początek właśnie w tej doskonałej, pozbawionej wszelkich wad i niewinnej istocie, której przyszłość wydawała się tak świetlana i pewna. Dzisiaj, o eony później, nasza błękitna planeta wraz z całym wszechświatem nadal zatacza się od tego ciosu, doświadczając przerażających skutków upadku.

Cała historia grzechu i zbawienia zaczyna się od tej niebywalej rebelii stworzenia przeciwko Stwórcy. Przez swoją dumę i pychę Lucyfer – *gwiazda jasna, syn jutrzeńki* (Iz 14,12 BW) – stał się *wielkim Smokiem, wężem starodawnym, który się zwie diabeł i szatan, zwodzącym całą zamieszkałą ziemię* (Ap 12,9). Chociaż jest od tamtej pory zaprzysięgłym przeciwnikiem Boga, ma do dziś dnia dostęp do sali tronowej w niebie. Tam bezustannie oskarża tych, którzy ufają i są posłuszni swemu Stwórcy (Hi 1,6-12, Ap 12,10).

Gdyby nie bunt szatana, Mesjasz nie musiałby przychodzić na ziemię. Boże Słowo stwierdza dobitnie: *Syn Boży objawił się* (tzn. przyszedł na ziemię) *po to, aby zniszczyć dzieła diabła* (1 J 3,8). Widać więc jasno, że jeśli nie zrozumiemy przyczyn upadku Lucyfera i konsekwencji, na jakie naraził on całe stworzenie, to nigdy do końca nie zrozumiemy, dlaczego Chrystus musiał przyjść po raz pierwszy, a tym bardziej po co i kiedy powróci.

Buntownicze narodziny ego

Bunt Lucyfera wprowadził grzech do Bożego stworzenia. W przytoczonym fragmencie z Księgi Izajasza jest wymienionych pięć butnych roszczeń Lucyfera, jedno zuchwalsze od drugiego:

1. [ja] *wstąpię na niebiosa* (Iz 14,13);
2. [ja] *swój tron wyniosę ponad gwiazdy Boże* (Iz 14:13 BW);
3. [ja] *zasiadę na górze narad, na najdalszej północy* (Iz 14.13 BW);
4. [ja] *wstąpię na szczyty obłoków* (Iz 14,14)⁴;
5. [ja] *zrównam się z Najwyższym* (Iz 14,14 BW).

⁴ *Wstąpię na szczyty obłoków* – roszczenie to nie wydaje się nam specjalnie bezczelne, dopóki nie uświadomimy sobie, że w Starym Testamencie Bóg jest nazywany Tym, który *pędzi na obłokach* (Ps 68,5 BW; por. 2 Sam 22,11-12 i in.). W wielu przypadkach obłok oznacza widzialną obecność Boga, teofanię (np. w księgach Mojżeszowych i w świątyni), w istocie żądanie wstąpienia na obłoki/do nieba w tym fragmencie to wyrażenie chęci zasiadania na tronie Boga (por. Iz 66,1) – przyp. tłum.

Zbuntowany cherub ogłasza pięć punktów swojej „deklaracji niepodległości”. Celem każdego z tych zrodzonych w jego sercu i skoncentrowanych na nim samym zamierzeń jest maksymalne wyniesienie siebie ponad wszystko i uhonorowanie swojego ego. Tak narodził się egoizm i zapatrzenie w siebie. Dzisiaj na każdym kroku spotykamy jego diabelskie potomstwo: obraz *samego siebie*, poczucie *własnej* wartości, szacunek do *samego siebie*, miłość *samego siebie*, *samoakceptacja*, pewność *siebie*. *Samego siebie* w nieskończoność – oto plagi współczesnego świata i Kościoła.

Takie jest jądro ciemności i zła, ale czyż nie wygląda ono nadzwyczaj znajomo? *Samodzielność*, *samookreślenie*, prawo do wyznaczania *swoich własnych* standardów moralnych i *samodzielnego* kierowania swoim losem – to wszystko było egoistyczną ambicją Lucyfera, za którą został strącony do otchłani. Po raz pierwszy stworzona przez Boga istota zażądała dla siebie prawa do samostanowienia i buntowniczej niezależności od swojego Stwórcy. Zaczęła rościć pretensje do prawa przysługującego z natury tylko samemu Bogu: aby zgodnie ze swoją wolą panować nad swoim stworzeniem. Niesłuchana zuchwałość.

Z przerażeniem uświadamiamy sobie, że te wszystkie tak wysoko cenione i pożądane obecnie cechy osobowości zostały poczęte w sercu szatana. Koncentracja na własnym rozwoju i osiągnięciach, która ongiś doprowadziła do upadku Lucyfera, jest dzisiaj wysoko ceniona jako klucz do sukcesu w świecie. Nic dziwnego, że ukochany apostoł Pana Jezusa Jan napisał: *cały świat leży w mocy Złego*, tj. szatana (1 J 5,19).

Co jeszcze smutniejsze, większość Kościołów bez zastrzeżeń akceptuje te kłamstwa. Wysoka samoocena, dobry obraz samego siebie i inne oblicza starego znajomego egoizmu zrodzonego w sercu szatana są teraz filarami tzw. chrześcijańskiej psychologii. Mistrzowskie oszustwo!

Lucyfer jako pierwszy rzucił wyzwanie prawu Boga do sprawowania władzy nad światem przez Niego stworzonym. Zażądał prawa do bycia równym Bogu: *zrównam się z Najwyższym* (Iz 14,14 BW), nie biorąc pod uwagę, że jest tylko stworzeniem.

Tym samym szatan odrzucił monoteizm (wiarę w jednego najwyższego Boga), wynosząc siebie do statusu boskości, i zapoczątkował politeizm (wiarę w wielu bogów). To samo zrobiła później Ewa. W tym miejscu zaczynamy rozumieć, dlaczego Chrystus żąda od swoich uczniów tak całkowitego **zaparcia się samego siebie**.

W sercu Lucyfera poczęła się bluźniercza obsesja zdetronizowania Boga, wydarcia z Jego rąk władzy nad wszechświatem i ustanowienia Bogiem samego siebie w miejsce Stwórcy. Wiele istot anielskich dołączyło do jego rebelii, stając się upadłymi aniołami, czyli demonami. Każda osoba na ziemi musi dokonać tego samego wyboru: albo iść za prawdziwym Bogiem, albo żądać prawa boskości dla siebie, a przez to dołączyć do mocy szatańskich. Są to ciągle te same zmagania *ego* każdego pojedynczego człowieka z Bogiem, i każdy z nas pozostaje po stronie szatana dopóty, dopóki z najgłębszym przekonaniem nie uzna, że modląc się: *nie moja wola, lecz*

Twoja niech się stanie (Łk 22,42), Chrystus mówił w naszym imieniu.

Teorie psychologiczne nie tłumaczą zachowania Lucyfera

Skoro upadek Lucyfera zapoczątkował wszelkie zło we wszechświecie, to w jego istocie musi tkwić rdzeń, który umożliwi nam chociaż częściowe zrozumienie natury zła. Skoro zło bierze swój początek od szatana, to każdą współczesną teorię wyjaśniającą mechanizm powstawania nienormalnych, antyspołecznych lub grzesznych zachowań, której nie można by zastosować do przypadku Lucyfera, należałoby odrzucić, ponieważ współczesne zło jest pochodną zła pierwotnego. Od razu widzimy, że oferowane przez psychologię tłumaczenia przyczyn złych czynów lub skłonności, tak powszechnie akceptowane dzisiaj zarówno w świecie, jak i w Kościele, nie znajdują żadnego zastosowania do przypadku Lucyfera. Dlatego prawdziwość tych teorii należy podać w wątpliwość.

Nie posiadamy żadnych informacji o przeszłości Lucyfera. Możemy stąd wnosić, że nie ma ona w tym przypadku żadnego znaczenia. A skoro wcześniejsze doświadczenia nie mają związku z działaniami Lucyfera, podobnie musi być we wszystkich przypadkach złego zachowania, co całkowicie przeczy współczesnym teoriom psychologicznym, w większości skoncentrowanym na badaniu przeszłości pacjenta. Doświadczenia z przeszłości nie determinują w żaden sposób późniejszych zachowań, ani w dzisiejszych czasach, ani w przypadku Lucyfera. Jego życie przed upadkiem nie doczekało się żadnej wzmianki, możemy więc z wielkim prawdopodobieństwem przypuszczać, że było bez zarzutu.

Lucyfer na pewno nie doświadczył urazów w dzieciństwie, rozczarowań, straty, frustracji, pokuszeń, nieprawidłowych relacji, odrzucenia ani uzależnień, których tak chętnie używa się współcześnie, aby tłumaczyć i usprawiedliwiać to, co Biblia nazywa grzechem. Nie posiadał „rodziny dysfunkcyjnej”, która wypaczyłaby jego myślenie. Przeciwnie, powstał i istniał w absolutnej doskonałości, gdyż przebywał w nieustannej obecności Boga i wraz z całym zastępem anielskim doświadczał Jego łask. Jeżeli pochodzenie, środowisko i przeszłe doświadczenia determinują obecne zachowania, to Lucyfer powinien do dziś pozostawać sztandarowym przykładem wszelkich cnót. A jednak duma pojawiła się w Jego sercu i wydała swój gorzki owoc.

Lucyfer na pewno nie był molestowany w dzieciństwie. A już tym bardziej nie stał się ofiarą tajemnych obrzędów satanistycznych (Satanic Ritual Abuse – SRA), choć później stanie się ich wynalazcą. Nie cierpiał na żadne uzależnienia, na rozszczepienie osobowości (Multiple Personality Disorder – MPD), nawyki obsesyjne (Obsessive Compulsive Disorder – OCD) czy zespoły stresu pourazowego (Post-Traumatic Stress Disorder – PTSD). Te nowe, uczenie brzmiące określenia niepożądanych zachowań, choć tak powszechnie uznane nawet wśród ewangelicznie wierzących, okazują się całkowicie bezużyteczne w odniesieniu do Lucyfera. Wynika stąd, że w żadnym przypadku tak naprawdę nie opisują one stanu faktycznego, ponieważ jeśli nie można wytłumaczyć w ten sposób zachowania Lucyfera – który jest

uosobieniem wszelkiego zła – to jest to również niemożliwe w stosunku do jakiegokolwiek człowieka.

Absurdem byłaby sugestia, że anielska istota o doskonałej mądrości, talentach i urodzie, której serce uniosło się pychą właśnie z powodu jej doskonałości, cierpiała na „zły obraz samego siebie” albo „niską samoocenę”. A jednak wzorem humanistów tzw. psychologowie chrześcijańscy zdołali przekonać wielu chrześcijańskich liderów i znaczą część Kościoła, że niska samoocena jest powodem wszystkich plag dziesiątkujących współczesne społeczeństwa, od narkotyków i homoseksualizmu po pornografię, rozwiązłość i aborcję. Przypadek Lucyfera zadaje jednak kłam tym wymyślnym teoriom. Jego problem to coś dokładnie przeciwnego: obsesyjna chęć wywyższenia samego siebie i uzyskania całkowitej niezależności.

Wspaniały Syn *Jutrzenki* (Iz 14,12) nie potrzebował kursów „pewności siebie”, „samoakceptacji” czy „samorozwoju”, niepotrzebny był mu „trening asertywności” i „wybijania się ponad innych” (*looking out for number one*). Te namiętności były obce jego stworzonej przez Boga naturze – a jednak spontanicznie wytrysnęły z głębi jego istoty. To, jak łatwo doskonała Ewa uległa tym samym egoistycznym pragnieniom (wskutek czego cała ludzkość jest dzisiaj obciążona dziedzicznym „darem” grzechu), potwierdza tylko absolutną trafność tego, co Jezus powiedział o rodzaju ludzkim: *Wy macie diabła za ojca i chcecie spełniać pożądania waszego ojca* (J 8,44).

Ani żadna psychoterapia, ani nowy program 12 kroków⁵ nie byłyby w stanie pomóc Lucyferowi. Mimo rosnącej popularności tych niedawno wymyślonych metod humanistycznych nie są one w stanie rozwiązać prastarego problemu egoistycznego zła, które narodziło się wraz z buntem Lucyfera, a teraz jątrzy się gnijącą raną w każdym ludzkim sercu. Większość psychoterapii pielęgnuje ideę skupienia na samym sobie i utwierdza ludzi w takim właśnie nastawieniu, któremu dawno temu dał początek Lucyfer.

Człowiek – podobnie jak Lucyfer – nie jest zaprogramowanym automatem, który na bodziec okoliczności musi odpowiedzieć zdeterminowanymi reakcjami, nie mając wyboru. Pokusy i urazy mogą stanowić podłoże naszych zachowań i być przez nas uznawane za wystarczające uzasadnienie dla odpłacania się za krzywdy, dla złości, zawiści, reakcji destrukcyjnych i irracjonalnych – ale nie mogą tłumaczyć niczyjego postępowania. To serce – a nie okoliczności, niezależnie od tego, jak tragiczne i bolesne – determinuje ludzkie działania.

Nikt nie jest zmuszany do pielęgnowania i odwzajemniania swoich krzywd, każdy decyduje się na to sam, czy to w obronie, czy z chęci dowartościowania siebie samego. W ten sposób udowadniamy tylko, że jesteśmy potomstwem Lucyfera i wspólnie z nim buntujemy się przeciwko Bogu. Bunt szatana nie znajduje żadnego wytłumaczenia ani tym bardziej usprawiedliwienia na podstawie jakichkolwiek racjonalnych przesłanek. Nie mógł on być reakcją na jakieś wcześniejsze tłumione urazy, ponieważ takich uraz po prostu nie było. Zło wzięło się z jego własnego serca i

⁵ „12 kroków” – program stosowany w grupach samopomocowych dla osób uzależnionych, po raz pierwszy wykorzystany na spotkaniach Anonimowych Alkoholików (przyp. red.).

ani okoliczności, ani przeszłe doświadczenia nie miały na nie żadnego wpływu. To samo odnosi się do każdego z nas. To my wybieramy sposób, w jaki się zachowujemy, a teorie psychologiczne, które winą za nasze zachowanie usiłują obciążać środowisko, w którym żyjemy, wikłają nas w kłamstwo.

Miłość, zło i prawo wyboru

Dlaczego Bóg dał ludzkości możliwość wyboru zła? Dlaczego nie mógł nas tak skonstruować, abyśmy zawsze wybierali dobro? Wybór, który jest ograniczony, nie jest żadnym wyborem. Możliwość wyrażenia zgody jest bez znaczenia, jeśli równocześnie nie ma możliwości sprzeciwu. Jeśli jedyną alternatywą jest możliwość zdeterminowanego „wolnego” wyboru, to nie jest to żaden prawdziwy wybór. Każda istota posiadająca potencjalną możliwość wyboru, a jednak siłą powstrzymywana od niego, staje się szybko sfrustrowana jak dzikie zwierzę w klatce. Niebo też stałoby się więzieniem dla tych, którzy będąc istotami wolnymi zostaliby zmuszeni, aby tam przebywać.

Bez pełnej możliwości wyboru nie istniałoby nie tylko zło, nie byłoby również miejsca na miłość. Wszyscy dzielimy intuicyjne przekonanie, że prawdziwa miłość pochodzi z głębi serca. Zgoda na gwałt wymuszona nożem albo odbezpieczonym pistoletem nie jest miłością. Miłość nie może być skutkiem przymusu. Nawet Bóg nie może zmusić nas do miłości, tak jak nie może dopuścić się grzechu, ponieważ obydwie te rzeczy byłyby pogwałceniem istoty Jego natury.

Bóg kocha nas tak bardzo, że chce nam dać najwspanialszy z możliwych darów, a jest nim On sam, w najgłębszej z możliwych relacji miłości. A jednak aby taka więź była możliwa, musimy mieć prawo wyboru. Bez rzeczywistej możliwości wyboru nie mielibyśmy szans cieszyć się tym, co ludzkość jednogłośnie uznaje za szczytowe spośród wszystkich doświadczeń człowieka – miłością do Boga i do siebie nawzajem.

Możliwość wyboru miłości zakłada zdolność do buntu, a nawet do zniechęcenia Boga, inaczej nigdy nie moglibyśmy naprawdę Go kochać. Miłość i nienawiść, dobro i zło są dwiema stronami tej samej monety. Nie można było uniknąć prawdopodobieństwa, że wolność wyboru otworzy drzwi złu, umożliwi bunt szatanowi i doprowadzi do skalania niewinności Edenu. Bóg w swojej wszechwiedzy wiedział, co się stanie, znał konsekwencje biegu zdarzeń i zapewnił ratunek dla ludzkości, jeszcze zanim grzech pojawił się na świecie. Tym lekarstwem jest Mesjasz, i każde kolejne Jego przyjście na ziemię odgrywa istotną rolę w procesie niszczenia zła.

Miłość jest taką samą niezgłębianą tajemnicą jak zło. Negowanie możliwości wolnego wyboru jest zaprzeczaniem istoty zarówno miłości, jak i zła. Nie można kochać pod przymusem ani ponosić odpowiedzialności za zrobienie tego, do czego zostało się zmuszonym. To jest zasadniczy problem wszystkich diagnoz psychologów, którzy uwalniają pacjentów od winy, czyniąc z nich ofiary i ucząc bezustannie powtarzać refren: „to nie moja wina”, aż zapamiętane wyrażenia w rodzaju: „nie miałem wyboru”, „byłem wykorzystywany”, „moja rodzina mnie nie rozumiała”, „byłem

zmuszony przez okoliczności” – same zaczną cisnąć się na usta. W ten sposób każdy staje się ofiarą. A jednak wszyscy doświadczamy w życiu możliwości dokonania wyboru. Dopóki ten fakt nie będzie świadomie uznany i nie nastąpi przyjęcie odpowiedzialności za swoje czyny, dopóty problem nie zostanie naprawdę rozwiązany.

Odwieczny konflikt

Biblia nie informuje nas o bitwach, które na skutek buntu szatana toczyły się w zamierzczłych wiekach pośród galaktyk. Wiemy tylko, że Bóg i szatan ciągle ścierają się w śmiertelnej walce o władzę nad światem i że ta niewyobrażalna kosmiczna bitwa koncentruje się teraz na naszej małej planecie. Stawką w niej jest los każdego człowieka, i to o niego obie strony tak zaciekle walczą. Bóg chce zbawić ludzkość, natomiast szatan używa wszelkich podstępów, aby namówić ludzi do opowiedzenia się po swojej stronie, a przez to do podzielenia jego przerażającego losu w wieczności.

W walce o kontrolę nad wszechświatem Bóg posługuje się Mesjaszem. Szatan też ma swojego ludzkiego przedstawiciela – Antychrysta. Kosmiczny konflikt osiągnie apogeum na Ziemi w straszliwej, bezpośredniej konfrontacji Chrystusa i Antychrysta. Więcej szczegółów dotyczących przebiegu tej bitwy przedstawimy na dalszych stronach książki. Pierwsze przyjście Chrystusa ponad 2000 lat temu, nadchodzące Pochwycenie i Drugie Przyjście są pojedynczymi elementami tej kosmicznej batalii i nie mogą zostać właściwie zrozumiane bez uwzględnienia kontekstu całości konfliktu.

W jakiś tajemniczy sposób, którego Pismo Święte nie wyjaśnia (ponieważ najprawdopodobniej nie byłoby to zrozumiałe dla śmiertelnego człowieka), każde ludzkie serce jest odrębnym polem walki w tej kosmicznej batalii. *Zwróćcieś uwagę na sługę mego, Hioba?* (Hi 1,8) – zapytał Bóg szatana. To wyzwanie spowodowało, że mały świat Hioba rozpadł się w gruzy, a jego dusza zmieniła się w straszliwie spustoszone pole bitwy między Bogiem a nim samym. Jego wieczny los zawisł na włosku i zależał od wyniku tych zmagania, a zadecydowała o nim podjęta przez Hioba decyzja.

Szatan był przekonany, że lojalność Hioba względem Boga jest wynikiem opieki i błogosławieństwa, jakimi został obdarowany. „Zabierz je” (por. Hi 1,11; 2,5) – prowokował Boga – a Hiob *w twarz będzie [Ci] złorzeczył* (Hi 2,5). Bóg pozwolił szatanowi doświadczyć Hioba wszystkim, co najgorsze, nie zezwalając tylko na pozbawienie go życia. Wszyscy musimy przejść przez taki sprawdzian miłości i lojalności względem Boga, chociaż niekoniecznie w ten sam sposób i z podobną intensywnością.

Wynik tego sprawdzianu będzie dowodem na to, czyją stronę wybraliśmy w tej odwiecznej walce, i zadecyduje o naszym wiecznym losie.

Hiob wygrał bitwę w jedyny możliwy sposób, w jaki można ją wygrać – przez całkowite podporządkowanie się woli Boga: *Choćby mnie zabił Wszechmocny – ufam* (Hi 13,15).

Musimy pozwolić się „zabić”, „ukrzyżować się z Chrystusem” (por. Ga 2,20), jak to określił Paweł, uznać Jego śmierć na krzyżu za naszą własną, potwierdzając przez to, że mamy pełną świadomość, iż sami na nią zasłużyliśmy. Musimy dobrowolnie oddać nasze zbuntowane, egoistyczne życie w zamian za życie, którym Chrystus będzie żył w nas. Inaczej na zawsze pozostaniemy niewolnikami grzechu i szatana. Czyż sam Jezus nie powiedział: *Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci [odda] swe życie z mego powodu, znajdzie je* (Mt 16,25)?

Walka w każdym sercu

Hiob nie był pierwszym człowiekiem kuszonym do buntu przeciwko Bogu. Dużo wcześniej szatan przekonał do tego wielu Bożych aniołów i przeniósł swoją rebelię na planetę Ziemię. Nie wiemy, na ile po stworzeniu człowieka miało to miejsce. Całkiem jednak możliwe, że Adam i Ewa mieli dzieci jeszcze przed swoim upadkiem. Bóg rozkazał im, aby „byli płodni i rozmnażali się” (por. Rdz 1,28). Częścią kary jaka później spotkała Ewę, było **pomnożenie dolegliwości [jej] brzemienności** (1 Mojż 3,16 BW). Być może to właśnie pierwotne potomstwo naszych prarodzców to owi *synowie boży*, którzy wzięli sobie za żony *córki ludzkie* i dali życie niezwyklejmu potomstwu olbrzymów (1 Mojż 6,2-4).

W odróżnieniu od Hioba, który zwyciężył nad swoim pokuszeniem i któremu Bóg przywrócił później jeszcze więcej błogosławieństw, niż stracił on w tej duchowej bitwie, upadek Ewy był zupełny, straciła wszystko. Dała się zwieść pokusie postawienia siebie i swoich pragnień ponad wolę Boga i upadła dokładnie tak jak szatan. A razem z nią stoczyła się w dół cała ludzkość, której Ewa była pramatką.

Waż zwiódł Ewę tym samym kłamstwem, które zrodziło się w jego własnym sercu, mówiąc do niej, że ona i jej mąż mogą „stać się jak Bóg” (por. 1 Mojż 3,5). Biblijna historia ogrodu Eden nie jest starodawnym mitem, ale wydarzyła się naprawdę, czego dowodem jest fakt, że rodzaj ludzki do dnia dzisiejszego jest opanowany tą samą szatańską ambicją. Poszukiwanie przypisywanej bóstwom wolności robienia wszystkiego, co się chce, co jest przyjemne i daje zadowolenie, usilne rozwijanie wszelkich (czy to materialnych czy nadprzyrodzonych) mocy, które pozwoliłyby na kontrolowanie życia i okoliczności, jest najpowszechniejszą z obsesji ludzkich. Równocześnie nie daje nam spokoju wspomnienie utraconego raju, a marzenie o przywróceniu temu światu dawnej doskonałości pozostaje ciągle najważniejszą ambicją ludzkości. Jednak każdy chciałby tego dokonać na własnych warunkach i własnymi wysiłkami, zamiast poddać się Bożej zwierzchności. Lecz jest to mrzonka.

Uratowanie rodzaju ludzkiego ze śmiertelnego uścisku szponów szatana, uwolnienie od nieuchronności kary za grzech, odnowienie wszechświata i poddanie go suwerennej władzy Boga jest zadaniem Mesjasza. Pierwsze przyjście naszego Pana położyło fundamenty pod to dzieło, drugie będzie kolejnym aktem Jego misji. Jednak ostateczna walka będzie mieć miejsce dopiero przy końcu tysiącletniego panowania Chrystusa na tronie Dawida.

Zanim jednak przejdziemy do przyszłości, przyjrzyjmy się bliżej temu odwiecznemu konfliktowi, który rozgrywa się w każdym ludzkim sercu. Rezultatem tej desperackiej walki między naszym ego a Bogiem jest całkowita zguba każdego człowieka na przestrzeni dziejów oprócz jednego jedyne­go – Jezusa Chrystusa. Wynika stąd, że tylko Jezus może nas ocalić. Problem zła musi znaleźć absolutnie sprawiedliwe i praktyczne rozwiązanie, w przeciwnym razie nie zostanie w ogóle rozwiązany.